

BAYOU
HEAT

Book Nineteen

ICE

New York Times and USA Today Bestselling Authors

ALEXANDRA IVY

Book Twenty

REAUX

LAURA WRIGHT

Ice/Reaux

BAYOU HEAT 19-20

Autor : Alexandra Ivy i Laura Wright

LÓD / ICE

Alexandra Ivy

PROLOG

Pomimo chłodnej styczniowej pogody, Wildlands kwitło.

Dom zmiennokształtnych pumy, znany jako Pantera, był ukryty głęboko na bagnach Luizjany. Niecały rok temu magiczna kraina została skażona przez szaloną boginię, niemal doprowadzając Panterę na skraj wymarcia. Ale teraz powróciła bujna roślinność, podobnie jak lilia Dyesse, którą można było znaleźć tylko w Wildlands i która była przepelniona magią krainy.

A co jeszcze bardziej zdumiewające, Pantera kwitła. Po pięćdziesięciu latach nieplodności mieli teraz żłobki, w których znajdowało się kilka cennych młodych, a kolejne będą w drodze.

Ale nie wszystko było idealne.

Po dziesięcioleciach odizolowania się od świata odkryli, że niemoralny, bezwzględny człowiek porywa i używa Pantery w swoich ukrytych laboratoriach.

Udało im się uratować kilku swoich ludzi, którzy byli torturowani przez lata, a także ludzkie „szczury laboratoryjne”, którym podawano duże dawki krwi i DNA Pantery. Udało im się również zniszczyć kilka obiektów należących do Benson Enterprises.

Ale ich wrogowie nie zamierzali przyznać się do porażki.

Nie bez walki...

ROZDZIAŁ 1

Cammy Taylor pospieszyła w kierunku rozległego kolonialnego budynku z szerokim, kolumnowym tarasem i górnym balkonem. Pomalowany na biało z czarnymi okiennicami i zwieńczony stromym dachem, miał wyraźny klimat „Przeminęło z wiatrem”.

Do kilku ostatnich miesięcy służył jako siedziba dwóch frakcji Pantery. The Geeks, którzy byli odpowiedzialni za radzenie sobie z całą technologią. I Dyplomaci lub Garnitury, jak pieszczotliwie je nazywano. Teraz jednak Łowcy również zaczęli korzystać z budynku. Ułatwiło to koordynację ochrony Wildlands, a także opracowanie strategii tropienia wrogów.

Jedynie Pielęgniarki nadal utrzymywały swoje osobne gabinety, w pobliskiej przychodni.

Wchodząc do dużej recepcji, Cammy skierowała się bezpośrednio do sali konferencyjnej z tyłu. Tylko z daleka była świadoma licznych samców, którzy zatrzymywali się, by popatrzeć, jak przechodzi obok. Była przyzwyczajona do fascynacji jej długimi, kruczoczarnymi włosami, które kontrastowały z czystą kość słoniową jej skóry, a także głębokimi, fioletowymi oczami, które były otoczone długimi czarnymi rzęsami. Jej rysy były delikatnie wyrzeźbione, a jej ciało obfitowało w kobiece kształty.

Ale nie tylko jej uroda przyciągnęła uwagę.

To płynna gracia jej ruchów, która naznaczyła ją jako śmiertelną Łowczyni, wydawała się poruszyć fantazje męskiej Pantery. Jakby połączenie miękkiej kobiecości i drapieżnej mocy było rodzajem afrodyzjaku.

Wchodząc do pokoju, w którym pośrodku drewnianej podłogi z desek stał długi stół i kilka okien wychodzących na mgliste zalewisko, Cammy zatrzymała się przy drzwiach. Przy stole siedział już tuzin Panter, wypełniających pokój elektrycznym napięciem, ale jej wzrok instynktownie odszukał mężczyznę siedzącego obok swojego partnera.

Wściekłość była jej najlepszą przyjaciółką, odkąd oboje

trenowali, by zostać Łowcami. Był wspaniały, czarujący i całkowicie lojalny. I pomimo tego, że przeskakiwał z jednego łóżka na drugie, jakoś przekonała samą siebie, że w końcu razem się ustatkują.

Głupi oczywiście. Ich koty nigdy nie były niczym więcej niż przyjaciółmi i przypadkowymi kochankami. Z pewnością jej zwierzę nie wyczuło go jako jej partnera. Ale jej ludzka strona splotła marzenia o wspólnej przyszłości. Sny, które zostały zniszczone w chwili, gdy zobaczyła go z małą kobietą Geek, kiedy wrócił do Wildlands.

Oboje praktycznie promienieli miłością do siebie.

Cammy zacisnęła zęby, gdy przeszył ją ból. Dobra. Była idiotką. Ale to nie ułatwiało zobaczenia, jak Szał jest całkowicie zakochany w swoim partnerze.

Czując czujne spojrzenie, Cammy gwałtownie odwróciła głowę, by dostrzec Łowcy stojącego w kącie. Lodowy Richelieu. Dziwne uczucie przebiegło przez jej ciało, gdy jej spojrzenie zatrzymało się na surowym pięknie jego wyrzeźbionych rysów i złocistych połyskujących włosach, które muskały jego szerokie, szerokie ramiona.

Był innym Łowcą, ale nie było w nim nic, co przypominałoby jej o Rage. Przede wszystkim był starszy. A po drugie, podróżował po świecie ze swoimi rodzicami, którzy byli dyplomatami. Jego zagraniczne podróże pozwoliły mu szkolić się u kilkunastu różnych ekspertów w różnych stylach walki.

Aha, i był niewątpliwy fakt, że nie było w nim nic uroczego. Był stoicki, miał ponurą twarz i skłonny był trzymać się z daleka od innych Panter.

Co najbardziej denerwujące, w jego lodowato niebieskich oczach widniała dzika nuta pogardy, ilekroć spoglądał w jej kierunku. Jakby uważał ją za nieznośnie nieznośną.

Zaciskając usta, celowo odwróciła się plecami do Łowcy, jej wewnętrzny kot prychnął z irytacji. Inne kobiety mogły „och i achh” nad jego dużym, muskularnym ciałem, które pod czarnymi T-shirtami i wyblakłymi džinsami wyglądało na twarde jak granit. Albo dreszcz na myśl o dzikiej zmysłowości, która obiecywała wszelkiego rodzaju niegodziwe przyjemności.

Ale nie Cammy. Prawdę mówiąc, starała się go unikać.

Zajmując miejsce na końcu stołu, z wdzięcznością zwróciła uwagę na dwóch mężczyzn, którzy weszli do pokoju.

Raphael był liderem Garniturów. Był wysoki i szczupły, ze złotą urodą, którą podkreślał elegancki garnitur. Natomiast Parish, szef Łowców, był ubrany w dżinsy i bluzę. Miał długie czarne włosy, szerokie ramiona, a jego przystojną twarz szpeciły blizny, które przecinały policzek od prawego ucha do ust. Nie mogli wyglądać bardziej różnie, ale obaj posiadali grzmiącą moc kotów alfa.

Natychmiast wszyscy w pokoju usiedli i stanęli trochę prosto.

„Czy wszyscy są tutaj?” – zapytał Rafael.

Odebrał nowy kolega Rage'a.

„Xavier nie mógł przyjść. Nadal próbuje odszyfrować pliki z komputera, który przywieźliśmy z Bossier City – wyjaśniła Lucie. Xavier był przywódcą Geeków i ostatnio rzadko opuszczał swoje biura na górze, nawet do snu. Był przekonany, że w danych znajdują się istotne informacje, które mogą pomóc im wyśledzić wrogów. „Powiedział, żeby wysłać mu e-mail”.

Parish przewrócił oczami. "Typowy."

Raphael skinął głową, jego oczy pociemniały od mocy swojego kota, gdy rozglądał się po pokoju. „Zacznijmy to”, stwierdził ponurym tonem. „Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy. Niestety nie doceniliśmy naszego wroga”. Przez pokój przetoczyły się ciche pomruki. „Początkowo myśleliśmy, że to tylko niewielka grupa ludzi, których można wytropić i wyeliminować. Teraz zdajemy sobie sprawę, że jest to międzynarodowa korporacja z bezdennymi funduszami i przyjaciółmi na potężnych stanowiskach. Co gorsza, teraz wiemy, że zabierali naszych ludzi i tworzyli serum z naszej krwi dłużej, niż nam się wydawało”. Twarz Raphaela napięła się z frustracji, którą wszyscy czuli. „Co oznacza, że musimy zabrać nasze tyłki w sprzęt i nadrobić zaległości”.

Ice przemówił z kąta. „Czy mamy jakieś twarde cele?”

– Jeszcze nie – przyznał Raphael. Udało im się odkryć kilka „klinik” i spalić je doszczętnie. Jednak frustrujące było jeszcze więcej. Co gorsza, przywódca wroga nadal im się wymykał. „Ale mamy Uzdrowicieli pracujących z tymi, którzy byli przetrzymywani w różnych laboratoriach. Mamy nadzieję, że mogą

n zapamiętaj coś, co zaprowadzi nas do Christophera.

Oczy Parisha świeciły złotą mocą jego pumy. „W takim razie nadchodzi nasza kolej na gry”.

Nastąpiła krótka przerwa, gdy wszyscy rozkoszowali się dniem, w którym Pantera raz na zawsze zniszczy ich wrogów.

W końcu Cammy zadała oczywiste pytanie. „Czego od nas chcesz?”

To Raphael odpowiedział. – Dopóki nie będziemy mogli przystąpić do ataku, chcę mieć pewność, że dranie nie dostaną się już w swoje ręce od naszych ludzi. Wezwałem całą Panterę do Wildlands.

Cammy skinęła głową. Przywódca Dyplomatów nie musiał mówić, że szpiedzy Pantery wciąż będą szukać złoczyńców. Wszyscy wiedzieli, że ten tymczasowy odwrót nie oznacza poddania się. Więcej okazji do przegrupowania się, aby następnym razem mogli uderzyć jeszcze mocniej.

– Patrole straży zostaną podwojone – powiedział Parish. „Nie chcę, żeby ktoś sam przeszukiwał teren”.

„A co z nowymi członkami stada?” – zażądał Ice.

Wśród nowych członków stada byli Pantera, których odkryli w różnych laboratoriach Bensona, a także ludzkie „szczury” i „klacze lęgowe”, które były wykorzystywane i maltretowane przez ich porywaczy.

W ciągu ostatnich tygodni budowali dla nich kilka nowych domków, a także mały dom kultury na obrzeżach Wildlands. Pozwalało im to wchodzić i wychodzić z ich sekcji, nie martwiąc się o magiczną barierę Wildlands, która powstrzymywała większość ludzi.

"Co z nimi?" – zapytał Rafael.

„Czy nie powinny być przeniesione w głąb wnętrza?” – zażądał Ice, jego głos był niski i podszyty autorytetem, który ujawniał dominację jego kota. „Są niebezpiecznie wyeksponowani”.

"Zgadzam się." Rafael skrzywił się. „Niestety ludzie, a nawet kilka hybryd, wciąż nie czują się dobrze na myśl o przebywaniu za naszymi magicznymi tarczami, gdzie nie mogą wejść i wyjść bez pomocy Pantery. Spędzili zbyt dużo czasu zamknięci za kratami, aby zaakceptować, że nie próbujemy wsadzić ich z powrotem do więzienia.

Ice skinął głową, jego wyrzeźbione rysy były niemożliwe do odczytania. „Zrozumiałe, ale muszą wziąć pod uwagę bezpieczeństwo swoich dzieci”.

Rafael skinął głową. Był zaciekle przywódcą, ale zawsze chętnie słuchał sugestii swoich zaufanych doradców, niezależnie od tego, czy byli to Garnitury, Łowcy czy Pielęgniarki.

– Porozmawiam z nimi ponownie – obiecał. „Może powinniśmy pomyśleć o zorganizowaniu spotkania publicznego, na którym będą mogli wyrazić swoje obawy, a my zrobimy co w naszej mocy, aby zaspokoić ich potrzeby. Jeśli mają stać się częścią naszego klanu, muszą mieć głos w swojej przyszłości.

Cammy uśmiechnęła się z krzywym podziwem. Umiejętności Rafaela jako Dyplomata byłyby tak samo ważne dla ich przyszłości, jak umiejętności Parisha jako wojownika.

Rozmowa zesłała na temat rotacji strażników, a także rozpoczęcia programu szkoleniowego dla przetrzymywanych przez wrogów Pantery. Cammy jednak zauważyła, że jej uwaga skierowała się w stronę mężczyzny w kącie.

To nie był pierwszy raz, kiedy jej wzrok powędrował w stronę Ice. Albo utrzymywał się na zniewalającym pięknie jego twarzy. Powiedziała sobie, że to z samoobrony. Jak mogła go unikać, skoro nie wiedziała, gdzie jest?

To nie wyjaśniało, dlaczego jej uwaga pozostała tak długo... ale hej, kogo to obchodziło?

Wciąż go obserwowała, kiedy nagle się spiął, jego wzrok utkwiał w coś za oknem.

– Intruz – warknął, a jego niski głos przyciągnął uwagę wszystkich w pokoju.

"Gdzie?" – zażądał Parish, poruszając się z płynną szybkością, by stanąć u boku Ice'a.

Lód wskazał. "Tam."

Nastąpił przypływ ruchu, gdy różne Pantery pospieszyły, aby zobaczyć, kto przyciągnął uwagę Ice. Cammy była na tyle niska, że musiała przeciskać się przez mocno ściśnięte ciała, zanim w końcu mogła dostrzec mężczyznę, który biegł z maksymalną prędkością w kierunku budynku.

Cammy zmarszczyła brwi. Nie był Panterą, chociaż poruszał się z większą gracją niż jakikolwiek zwykły człowiek. Hybryda? Było kilku, którzy mieli wystarczająco dużo Pantery we krwi, by z łatwością przejść przez magiczną tarczę.

– Zajmę się nim – warknął Parish, cofając się, przygotowując się do uwolnienia pumy.

Raphael złapał go za ramię, zanim mógł się przesunąć. – Zaczekaj, Parish – ostrzegł, kiwając głową w stronę intruza. "Patrzeć."

W tym momencie sztywna bryza styczniowa rozerwała marynarkę mężczyzny. Wszyscy sapnęli z przerażenia. Do smukłego ciała intruza przymocowana była seria długich, wąskich rurek połączonych wąskimi drutami.

– Bombowiec-samobójca – wycedził z niedowierzaniem Parish, sięgając po kaburę z pistoletem w dolnej części pleców. - Włącz alarm – warknął w kierunku Wściekłości, zanim zwrócił uwagę na Ice. „Doprowadź ewakuację budynku”.

Parish otworzył okno i otworzył ogień. Mężczyzna zachwiał się, ale szedł naprzód, z potarganymi ciemnymi włosami i dzikimi oczami. Cammy odwracała się, gdy eksplozja wstrząsnęła ziemią pod jej stopami.

Bzdury.

Najwyraźniej zdając sobie sprawę, że nie uda mu się dostać do

środku budynku, zamachowiec-samobójca musiał postawić zarzuty. I chociaż nie zdołał wyrządzić szkód, których bez wątpienia chciał, eksplozja była na tyle duża, że wybiła ogromną dziurę w ścianie, zawalając tył budynku.

Cammy rzuciła się w stronę drzwi, gdy górne piętro runęło, grożąc ich zmiążdżeniem. Dźwięk wściekłego warczenia i przesywający wycie syreny ogłuszył ją, uniemożliwiając usłyszenie okrzyku ostrzeżenia, gdy ciężki promień padł prosto na jej głowę.

W jednej chwili przepychała przez drzwi ostatnich przyjaciół, a w następnej leżała płasko na plecach z lodem na wierzchu. Zesztywniała z szoku. Co on do cholery robił?

Potem usłyszała, jak promień uderza o podłogę zaledwie kilka cali od jej głowy z roztrzaskującą siłą. Cholera jasna. Gdyby Ice nie odepchnął jej z drogi...

Spojrzała na tę twardą twarz, jej oddech uwiązł w gardle na widok lodowoniebieskich oczu, które przyglądały się jej z emocją, której nie była w stanie rozszyfrować.

Bez ostrzeżenia jej kot poruszył się niespokojnie pod jej skórą. Prawie tak, jakby chciał ocierać się o Lód i pokryć się jego surowym, męskim zapachem.

Dobra... Bogini.

Na szczęście nieświadoma jej zaskakującej reakcji na dotyk jego dużej postaci przyciskającej ją do podłogi, Ice potoczył się w górę i podciągnął ją na nogi.

"Czy wszystko w porządku?" – zażądał uciętym tonem.

"Tak, wszystko w porządku." Rozejrzała się po zniszczonym pokoju, który teraz wyglądał jak strefa wojny. "Co to było do cholery?"

Wyraz twarzy Ice był ponury, gdy chwycił ją za rękę i wyciągnął z pokoju.

„Najpierw upewniamy się, że wszyscy są bezpieczni. Wtedy dowiemy się, kto nas zaatakował – warknął. „I jak zamierzamy ich ukarać”.

Lód był silniejszy, szybszy i bardziej bezwzględny niż większość Panter. To właśnie czyniło go takim dobrym Łowcą. Ale po godzinach przeszukiwania każdego centymetra Wildlands, aby upewnić się, że w zapadającym zmierzchu nie czają się wrogowie, był wyczerpany.

Mimo to zmusił się do ponownego przeszukania w poszukiwaniu rannej Pantery, zanim w końcu udał się w kierunku wspólnego obszaru, gdzie zgromadziła się większość jego ludzi. Jego wzrok instynktownie szukał rodziców, którzy wrócili do domu w poprzednim tygodniu. Byli z jego babcią, gdy poruszała się wśród rannych, używając swoich darów uzdrowiciela na garstce rannych. Następnie jego spojrzenie powędrowało w kierunku Cammy, która stała na straży grupy młodych, którzy stłoczyli się na środku polany.

Z daleka wyglądała na tak zmęczoną, jak on się czuł, ale stała z wyprostowanym kręgosłupem i wysoko uniesioną głową. Co upewniło go, że nie jest ranna.

Ucisk, z którego nawet nie zdawał sobie sprawy, był owinięty wokół jego klatki piersiowej, powoli zelżał.

Nie wiedział, kiedy jego kot zdecydował, że Cammy ma go chronić. Zaczęło się tak powoli, że nie rozpoznał niebezpieczeństwa, dopóki nie było za późno. Teraz po prostu zaakceptował, że jego kot nie zmieni swojego upartego zdania.

Nawet jeśli miała obsesję na punkcie Wściekłości.

Potrząsając głową, skręcił na skraj porośniętego mchem obszaru. On

wrócił, aby zgłosić się do Parish. Kiedy skończy rozmawiać ze swoim przywódcą, zamierzał złapać trochę jedzenia i wrócić, by ponownie przeszukać zewnętrzny obwód.

Nie miało znaczenia, jak bardzo był zmęczony. Żadnego z nich nie będzie dzisiaj spać.

W końcu odnajdując swojego przywódcę w pobliżu poważnie uszkodzonej Kwatery Głównej, Ice poczekał, aż Parish zakończy rozmowę z Raphaelem i Xavierem. Pięć minut później Parish z

ponurą miną stanął dokładnie przed nim.

– Skończyłeś zmiatanie?

"Tak. Odeszli — zapewnił go Ice. „Liczę, że weszło co najmniej pół tuzina, chociaż nie można było ustalić, czy wszyscy wyszli”.

– Sprawdziłeś jaskinie?

Ice skinął głową. Magia Wildlands obejmowała kilka głębokich jaskiń, pomimo bagnistych krajobrazów.

– Przeszukałem je — powiedział Ice. „A potem wróciłem, żeby je przeszukać, zanim wróciłem tutaj, na wypadek, gdyby zawrócili”.

„Ile punktów wejścia?”

– Jeden na północnym krańcu.

„To pasuje do Keiry” — powiedział Parish, odnosząc się do swojej siostry, która była jedną z najlepszych Łowczyń w Wildlands.

Ice spojrzał w stronę Kwatery Głównej, która pochylała się pod pijanym kątem i wciążył się tliła. „Jakie są tutaj szkody?”

Parish skrzyżował ręce na piersi i zacisnął szczęki. „Będzie musiał zostać zburzony i odbudowany, ale to nie jest najgorsza część. Sprzęt Xaviera został zniszczony, gdy zawaliła się podłoga. Dodatkowo musieliśmy użyć wody, aby ugasić pożar, który został wywołany przez eksplozję.

Lód skrzywił się. Ogień i woda nie były dobrym połączeniem dla elektroniki. „A co z komputerami należącymi do Benson Enterprises?”

"Zniszczony."

Oddech lodu syczał mu przez zęby. Furia przeszła przez niego jak lawa, ale robił co w jego mocy, aby utrzymać emocje na smyczy. Nauczył się od swojego sensei, że gniew jest wrogiem.

Tylko jasny umysł może wskazać drogę do sukcesu.

S1

– Cholera — mruknął.

„Xavier przechowuje wszystko na zdalnym serwerze”, kontynuował Parish, „ale przywrócenie go do działania zajmie trochę czasu”.

Wiedząc, że nie może nic zrobić, by pomóc Geekom, Ice skierował swoją uwagę na Panterę, która stłoczyła się w grupach pośrodku dużej polany. „A co z ofiarami?” on zapytał.

„Kilka rannych, ale nikt nie zginął, dzięki Bogini” – odpowiedział Parish. – I dzięki tobie. Gdybyś nie zauważył intruza, kto wie, co mogło się stać.

Ice machnął na bok słowami swojego przywódcy. Miał szczęście, że stał tam, gdzie miał dobry widok na ścieżkę prowadzącą z bagien. „Sprawdzałeś u naszych najnowszych członków stada?” zapytał, odnosząc się do tych żyjących na skraju Wildlands.

„Nie wyczuli żadnych intruzów w ich okolicy” – odpowiedział Parish.

"Dobrze."

Parish skinął głową, choć oboje wiedzieli, że to tylko szczęście, że żadna z zewnętrznych kabin nie została zaatakowana. „Zostaną przeniesieni do tymczasowego mieszkania, dopóki nie będziemy pewni, że będą mogli bezpiecznie wrócić”.

Rozsądny środek ostrożności.

– Czy wiemy, jak przedostał się przez tarczę? – zażądał Ice.

„Zakładamy, że miał wystarczająco dużo krwi Pantery, by przemknąć przez magię” – powiedział Parish. Bariera miała chronić zmiennokształtnych pumy przed światem zewnętrznym, ale nie była to niezawodna forma zabezpieczenia. Jak boleśnie odkrywali. „Nie wiemy, czy wstrzyknięto mu krew, czy zmieniono DNA, aby stać się hybrydą”.

Ice skrzywił się, zakładając, że Uzdrownicy użyją kawałków pozostałych po intruzie, aby ustalić, czy był urodzonym Panterą, czy też dostał wstrzyknięcie ich krwi. „To była ryzykowna gra” –

powiedział. „Nie mogli wiedzieć, że spotkamy się dokładnie w tym czasie. Chyba że w Wildlands jest szpieg.

Parish wzruszył ramionami. – Kwatera główna mogła nie być celem. Zamachowcy-samobójcy zazwyczaj dążą do maksymalnej rzezi. Mógł skierować się do centrum komunalnego, mając nadzieję, że zebraliśmy się na kolację, a nawet do kliniki, w której trzymamy naszych najbardziej bezbronnych. Ale po tym, jak został postrzelony, mógł zostać zmuszony do wysadzenia najbliższego obiektu, zanim się wykrwawi.

Ice zmarszczył brwi, powoli odtwarzając w myślach incydent. Mężczyzna wybiegł z gęstej roślinności mokradeł, jakby zmierzał prosto w ich stronę. Ale ścieżka okrążyła kwaterę główną i kończyła się w centrum komunalnym. To mógł być jego cel.

„Ale po co w ogóle strajkować?” – mruknął, zadając pytanie, które dręczyło jego umysł, gdy szukał intruzów.

Parish zmarszczył brwi, jakby nie miał czasu zastanowić się, co skłoniło go do ataku. „Wyrządziliśmy im szkody. Jestem pewien, że chcą zemsty.

"Może."

Parish z łatwością wyczuł wahanie Ice. "O czym myślisz?"

Ice usiłował określić swoje niejasne poczucie, że czegoś mu brakuje.

Coś ważnego.

„To może być samotna praca wariata, chcąca zemsty”, wymamrotał powoli.

"Lub?" – zapytał Parish, gdy Ice się zawahał.

— Albo odwrócenie uwagi — powiedział w końcu Ice.

Oczy Parisha nagle się zwęziły. "Masz rację. Musimy się przygotować... Słowa ucichły, gdy Parish spojrzał na tłum zszokowanych Panterą. "Gównno." Pokręcił głową z frustracją. „Nie wiem nawet, na co musimy się przygotować”.

Lód skrzywił się. Co mógł powiedzieć? Żaden z nich nie

wiedział, co może nadejść dalej.

Stali we wzajemnym milczeniu, oboje pogrążeni w mrocznych myślach, gdy Indy zatrzymał się w poślizgu obok Parish.

Drobna kobieta o krótkich, czarnych jak noc włosach i ciemnoniebieskich oczach wyglądała jak motocyklowa lalka pixie. Była jednym ze szczurów laboratoryjnych, które uciekły z laboratoriów Benson i prowadziły wojnę przeciwko ludziom, kiedy znalazł ją Angel.

– Potrzebuję twojej pomocy – rozkazała bez ogródek.

Indy miał takie same umiejętności społeczne jak Ice.

Dokładnie żaden.

Parish natychmiast odwrócił się do niej. "Powiedz mi."

– Zaginęła Karen.

Lód zmarszczył brwi. Zajął mu chwilę przypomnienie sobie ładnej kobiety, która była z Indym, kiedy Pantera znalazła szczury w Nowym Orleanie. Była kłaczą hodowlaną dla ludzi, co oznaczało, że została zapłodniona siłą nasieniem Pantery w celu uzyskania hybryd. Miała jednego syna, Caleba, z nią w Wildlands, ale Ice zdawał się przypominać, że słyszał, że ma inne dzieci, które odebrano jej po urodzeniu.

„Gdzie ona powinna być?” – zażądał Parish.

„Była w klinice, kiedy wybuchł wybuch”, powiedział Indy. „Nikt nie pamięta, że ją potem widział”.

Parish zmarszczył brwi. – Czy mogła wrócić do domu?

Indy spojrział na niego z niedowierzaniem. "Nie ma mowy. Gdyby były obrażenia, nie opuściłaby kliniki, nawet gdyby była gotowa zapaść.

„Zabierz mnie do ostatniego miejsca, w którym była widziana”, rozkazał Parish Indy, zanim spojrział przez ramię na Ice. "Chodź ze mną."

Ice natychmiast dołączył do Parisha, gdy Indy skierował się w

stronę długiego, tętniącego życiem budynku.

— Ma gabinet w klinice — powiedział im Indy, prowadząc ich do najbliższych drzwi.

W normalny dzień ośrodek leczniczy był miejscem spokoju, ze ścianami wyłożonymi wiśniowymi panelami i ręcznie tkanymi dywanami, które niewiele przypominały ludzki szpital. Jednak dzisiejszej nocy spokój został zastąpiony skwierczącą energią, gdy Uzdrowiciele pracowali razem, by uleczyć rannych i ukoić tych, którzy zostali zranieni atakiem.

Omijając sale zabiegowe, Indy ruszył w stronę długiego korytarza, gdzie znajdował się rząd gabinetów. Otworzyła drzwi na końcu i natychmiast kot Ice'a znieruchomiał jak myśliwy.

Szybki rzut oka ujawnił wybite okno i akta porzucane po podłodze. Niedawno miała miejsce walka. Ale nie to spowodowało, że puma uciskała się pod jego skórą.

To był niepowtarzalny zapach, który wypełniał powietrze.

— Krew — wydyszał. „I piżmo nieznannej Pantery”.

Indy wydała z siebie dźwięk rozpacz, przyciskając rękę do piersi, gdy Parish ukląkł, by przyjrzeć się plamie na środku dywanu. "Czy ona...?"

- Żyła, kiedy stąd wychodziła - zapewnił Parish młodą kobietę, prostując się, by szybko przeszukać mały pokój.

Nie było wiele do zobaczenia. Biurko z komputerem, dwa krzesła i sięgające od podłogi do sufitu półki zastawione teczkami.

— Wiem, że pracowała z Uzdrowicielami. Czy robiła coś jeszcze? — zapytał Parish, wyraźnie dochodząc do założenia, że wróg porwał kobietę.

Nie żeby to był duży skok.

Co jeszcze mogło się wydarzyć?

Indy wyraźnie wyprostowała ramiona, odkładając na bok strach, by mogła zrobić wszystko, co konieczne, by pomóc swojej

przyjaciółce. "Co masz na myśli?"

Parish skinął głową w stronę akt. „Czy prowadziła jakieś badania?”

Indy przygryzła dolną wargę. „Wiem, że wciąż próbowała zlokalizować swoich synów. Xavier z nią pracował. Pobrał i wydrukował pliki pacjentów z różnych komputerów Benson Enterprise, na których dostaliśmy rękę”.

– Miałem na myśli wszelkie badania, które dotyczą twoich ludzi
– wyjaśnił Parish.

– Nasi ludzie — poprawił go Indy.

Minęła minuta, zanim Parish zorientowała się, że upiera się, że uchodźcy są teraz częścią stada Pantery.

"Tak. Nasz lud — zgodził się niecierpliwym tonem.

Zadowolona Indy objęła ramionami talię, jej twarz była blada. „Pracowała z doktorem Chelsea. Testowali jej krew, aby zobaczyć, co zrobiła firma Benson Enterprises, by ją zmienić.

- Wiem, że była kłaczą hodowlaną... Parish uciął słowa z grymasem. "Przepraszam."

— W porządku — zapewnił go Indy. — To był termin, którego używała Karen. Powiedziała, że nie ma sensu uciekać od tego, co nam zrobiono. Musieliśmy to zaakceptować i wykorzystać ból, aby uczynić naszą przyszłość lepszą”.

Ice milczał, nawet gdy w duchu oklaskiwał filozofię kobiety. Większość ludzi, którzy przetrwali

to, co miała, byłoby zbyt gorzkie, by w pełni cieszyć się życiem.

„Czy odkryli, co jej zrobiono?” — zapytał Parish.

Indy wzruszył ramionami. „O ile wiem, nadal pracowali nad wynikami”.

Parish położył pięści na biodrach, wpatrując się w okno. „Może ktoś nie chciał, żebyśmy poznali dokładną naturę eksperymentów”.

Ice nie był przekonany. – Skąd mogli wiedzieć, że jest testowana?

„Karen miała przyjaciela, z którym utrzymywała kontakt w Nowym Jorku” – powiedział Indy. – Mogła powiedzieć coś, co można by przekazać Christopherowi i jego bandzie bękartów.

- Więc możliwe, że zamachowiec mógł odwrócić uwagę od Karen - mruknął Parish zmartwionym tonem. Spojrzał na Ice. „Sprawdź, czy możesz znaleźć ślad”.

Ice skinął głową i przeszedł przez biuro, ostrożnie wychodząc przez rozbite okno. Znalazłszy się na omszałej ziemi, odetchnął głęboko, wyczuwając zapach nieznannej Pantery. Zapach Karen będzie rozchodził się po Wildlands. Łatwiej byłoby śledzić zapach intruza.

Skupiony na swoim celu, zablokował ciekawskie spojrzenia, które podążały za nim, gdy okrążał dalszą krawędź zniszczonej Kwatery Głównej i boczną ścieżką, która była rzadko używana. Przedzierał się przez najgłębszą część bagien, a ziemia była zbyt miękka, by budować na niej domy.

Zatrzymując się, Ice zamknął oczy, opróżniając umysł, gdy wzywał moc swojej pumy. Wibrowały przez niego dreszcze magii, wydłużając mięśnie i ścięgna oraz umieszczając kości na miejscu. Potem, w ostatnim wybuchu gorąca, został całkowicie przesunięty.

Z rykiem zadowolenia jego kot skoczył do przodu, z łatwością poruszając się po rozmokłej ziemi. Szybko podążał tropem, nie zdziwiony, gdy znalazł jeden zestaw śladów. Karen bez wątpienia została znokautowana, żeby ją uciszyć, gdy zabrali ją z biura. Musieliby ją wynieść z Wildlands.

Chyba że... nie. Wyczułby jej krew, gdyby ją zabili i wrzucili na bagna.

Przeskakując przez powalone pnie drzew i wąskie kanały, Ice w końcu dotarł na skraj Wildlands.

Ktokolwiek zabrał Karen, spotkał się z innymi intruzami i wszyscy odeszli w to samo miejsce, które wcześniej odkrył. Pozostając w magii Wildlands, więc pozostał w swojej kociej postaci, poszedł krawędzią drogi omijającej zatokę,

kierując się w stronę La Pierre, małego miasteczka oddalonego o kilka mil.

Mając nadzieję, że zdoła ich złapać, zanim zdążą uciec, Ice warknął z frustracji, gdy zapach nagle zniknął. Nie potrzebował głębokich kolein w błotnistej ziemi, żeby powiedzieć mu, że czekał na nich samochód.

Nie mogąc za nimi podążać, Ice udał się z powrotem do Wildlands, zastając Parisha czekającego na niego przed kliniką.

Z wybuchem magii przesunął się, drżąc z bolesnej przyjemności tak szybkiej przemiany z powrotem. „Wystartowali w pojeździe, który musiał na nich czekać”.

Indy wyszedł z cienia. „Musimy ją odzyskać”.

- Zrobimy to - powiedział Parish, nie spuszczać wzroku z Lodu. „Czy można je śledzić?”

"Nie." Ice potrząsnął głową. Był piekielnym Łowcą, ale nie cudotwórcą. „Musieli wyjechać zaraz po wybuchu. Nie ma sposobu, aby wiedzieć, w którym kierunku poszli, gdy wjechali na utwardzoną drogę.

Parish przerwał, jego wzrok prześlizgnął się po zebranej Panterze, jakby szukał inspiracji. Potem szybkim ruchem odwrócił się do Indy'ego. „Czy masz coś z Karen, co ma do niej głębokie emocjonalne przywiązanie?”

– Tak – powiedziała bez wahania. "Zaraz wracam."

Ice zmrużył oczy, ostre podejrzenie skręcało mu wnętrzności w supeł. – Parish...

– Musimy ją odzyskać – przerwał Parish.

— W tej chwili musimy się skoncentrować na upewnieniu się, że Wildlands są bezpieczne — warknął Ice.

Parish zrobił krok bliżej, jego głos był tak niski, że nie mógł go znieść. Łatwiej było wypuścić skrzydła i latać, niż prowadzić prywatną rozmowę w środku grupy zmiennokształtnych.

„Jeśli wróg zadał sobie tyle trudu, aby dostać się w swoje ręce

Karen, musi mieć coś, co albo jest niezbędne, albo stanowi dla nich zagrożenie. Co oznacza, że jest dla nas atutem, na utratę którego nie możemy sobie pozwolić – powiedział Parish ponurym tonem. Czy obwinił się o to, że wróg prześlizgnął się poza ich granice? „Poza tym ma zbyt wiele wrażliwych informacji o naszych ludziach, by zostawić ją w ich rękach”.

Zanim Ice zdążył się odezwać, młoda kobieta wróciła, wręczając Parishowi małe zdjęcie nieznannej kobiety w złotej ramce.

– Tutaj – powiedziała. „To jest matka Karen. Zmarła, zanim Karen zdołała uciec. To wszystko, co po niej zostało.

Parish dał obraz Ice. — Zanieś to Cammy. Zobacz, czy może użyć swoich mocy, by znaleźć Karen.

Lód zatrzymał się. Nie chodziło o to, że nie wierzył w zdolność Cammy do wytropienia Karen. Nie rozumiał jej dziwnego talentu do wykorzystywania przedmiotów do znajdowania ludzi, ale wiedział, że to bardzo realne.

Nie. Jego wahanie wynikało z zakorzenionego nawyku unikania młodego Łowcy. Ta jego część nakłaniała go, by poprosił Parisha o wysłanie kolejnego Huntera z Cammy. Przywódca nie byłby szczęśliwy, ale zaakceptowałby żądanie Ice, by został i pomógł strzec Wildlands.

Zrobiłby to zaledwie kilka dni temu.

Ale wszystko się zmieniło, gdy Rage wrócił do domu z kumplem.

A teraz...

– W porządku – mruknął, szukając wzrokiem kobiety, która fascynowała go i denerwowała od lat.

Parish położył dłoń na jego ramieniu. "Pozostać w kontakcie."

ROZDZIAŁ 2

Cammy pobiegła na skraj Wildlands, niosąc plecak, w który pospiesznie wpychała ubrania na zmianę, kilka przyborów toaletowych i swój ulubiony pistolet. Ubrana była w skórzane spodnie, czarny sweter z golfem i ciężkie buty, z włosami zaplecionymi w ciasny warkocz.

Całe jej ciało mrowiło. Powiedziała sobie, że to połączenie spóźnionego szoku i chęci odwetu na swoich wrogach.

To nie mogło mieć nic wspólnego ze spędzeniem następnych kilku godzin sam na sam z Ice. Czy to możliwe?

Dobra, był taki moment, kiedy uratował ją przed spadającą belką. Świadomość gorąca i bicia serca. I nie mogła całkowicie zignorować faktu, że jej kot ryknął z niecierpliwości, kiedy Ice odszukał ją, by powiedzieć jej, że idą na polowanie na zaginioną Karen.

Ale jednak...

Jej splątane myśli zostały przerwane, gdy poczuła bogaty zapach piżma Ice. Mrowienie nasiliło się, wysyłając dziwny dreszcz wzdłuż jej kręgosłupa, gdy wyszedł z cienia cyprysu.

Jego duże ciało podkreślał obcisły czarny T-shirt, który nosił pomimo ostrego chłodu w powietrzu, oraz znoszone dżinsy, które przylegały do jego wąskiego pośladka i muskularnych ud.

Część niej zawsze wiedziała, że jest oszałamiającym stworzeniem. Męskie rysy, które wyglądały, jakby zostały wyrzeźbione rękami artysty. Złote włosy, które muskały jego szerokie ramiona. I blade, blade oczy, które lśniły mocą jego kota.

Ale aż do tej chwili nigdy nie pozwoliła sobie zakosztować pełnego wpływu jego dzikiej urody.

Droga Bogini, co się z nią działo? Nigdy nie czuła dreszczy, kiedy była z Wściekłością. Albo jakikolwiek inny mężczyzna. Więc co się dzieje z Ice?

Na szczęście nieświadoma jej dziwnej reakcji na jego obecność, Ice przesunął się, by stanąć u jej boku.

„Jesteś gotowy?” – zażądał, wystarczająco sprytny, by nie sugerować, by wziął jej torbę. Cenila dobre maniery, ale była Łowczynią. Mogła nosić własny cholerny sprzęt.

"Tak." Skierowała się w stronę dżipa zaparkowanego tuż przy drodze. „Im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziemy mogli

wrócić”.

Długimi krokami szybko szedł u jej boku. "W pośpiechu?" – szedł miękki tonami.

Spojrzała przez ramię, jej rysy złagodniały, gdy przypomniała sobie ostatnie spojrzenie na Wściekłość, gdy stał na straży tych Panter, które spały w centrum komunalnym.

— Jesteśmy potrzebni w Wildlands — mruknęła.

S

usłyszał niski pomruk dudniący w piersi Ice'a. – Jesteś przy mnie potrzebny – warknął. „Jest z osobą, której potrzebuje, u swojego boku”.

Cammy wzdrygnęła się. Czy wiedział, że myśli o wściekłości?

Podejrzenie wystarczyło, by z upokorzenia usztywnić jej kręgosłup.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała przez zaciśnięte zęby, otwierając drzwi pojazdu i wsiadając na siedzenie pasażera.

Tylko idiota pomyślałby, że Ice pozwoli jej prowadzić.

Kilka sekund później Ice usiadł za kierownicą, wyciągając rękę, by uruchomić silnik. Ale zamiast wrzucić bieg, zamiast tego odwrócił się, by przyjrzeć się jej z niepokojącą intensywnością.

– Słuchaj, będziemy musieli pracować razem, Cammy — powiedział, a jego ochryple głosem głaskał ją jak pieszczota. "Możesz to zrobić?"

Czy mogła? W zamkniętej przestrzeni jeepa czuła uderzenie jego intensywnej energii biegnącej po jej skórze. To było jak stanie w środku burzy elektrycznej. Co gorsza, jej kot nadal próbował sięgnąć. Jakby tęsknił za dotknięciem zwierzęcia Ice'a.

Tylko jej uparta duma nie chciała przyznać, że może być ponad głową.

„Potrafię, jeśli możesz”, stwierdziła, mówiąc.

Powolny, przerażająco zadowolony z siebie uśmiech wygiął jego

usta.

"Która droga?" on zapytał.

Z wysiłkiem Cammy zmusiła się do skupienia się na oprawionym w ramkę zdjęciu, które trzymała w dłoniach. Będzie się martwić o Ice i jej irytującą reakcję na niego później. Na razie nie liczyło się nic poza odnalezieniem Karen.

– Północ – mruknęła, skupiając się na znajomym doznaniu, które ją targało.

Bez wątpienia Ice wrzucił bieg i skręcił w pierwszą drogę prowadzącą na północ.

Otaczała ich gęsta ciemność, ale Ice nie włączył reflektorów. Ich kocie oczy sprawiały, że widzieli równie dobrze w nocy, jak w dzień i nie było sensu przyciągać niechcianej uwagi.

Jechali w milczeniu, dżip przedzierał się przez błotniste wyboje. Dopiero gdy dotarli do brukowanej drogi prowadzącej z mokradel, Ice spojrział w jej stronę z jawną ciekawością. „Jak działa twoja moc?”

S2

Cammy nie miała nic przeciwko temu pytaniu. Nigdy nie spotkała innej Pantery, która miałaby jej wyjątkowy dar, więc zrozumiałe było, że ktoś, kto z nią pracował, chciałby wiedzieć, czego się spodziewać.

Zdecydowanie wolała, żeby po prostu pytali, niż spekulować za jej plecami.

„Kiedy dotykam przedmiotu, który jest emocjonalnie związany z osobą, mogę wyczuć, gdzie ona jest” – powiedziała.

Zwrócił wzrok na drogę. "Otóż to?"

"Otóż to."

„Czy to magia?”

Cammy wzruszyła ramionami. W dzieciństwie usilnie starano się dowiedzieć, skąd pochodzi jej prezent. Teraz odmówiła dalszych testów. Nie miało znaczenia, skąd pochodziło, po

prostu działało, kiedy tego potrzebowała.

„Nikt tak naprawdę nie wie. Zostałam przetestowana przez Uzdrowicieli, a nawet przez starszych, ale nikt nie odkrył, jak i dlaczego – powiedziała.

Przyjął brak wyjaśnienia skinieniem głowy. „Jak blisko musisz być z osobą, której szukasz?”

„Im dalej się znajdują, tym mniej mam dokładności” – przyznała. „Mogę podać ogólny kierunek, jak kompas, ale żadnego konkretnego adresu. W miarę zbliżania się mogę zacząć dokładnie określać lokalizację”.

Nabrał prędkości, gdy droga się poszerzała. „Jak odkryłeś swój talent?”

Jej usta drgnęły na to wspomnienie. „Byłem w przedszkolu, kiedy zaginął jeden z moich przyjaciół. Wysłano nas do naszych domów, aby wataha mogła się zebrać i rozpocząć poszukiwania. Złapałem ulubioną piłkę zaginionego szczeniaka, aby móc mu ją dać, gdy zostanie znaleziony. Zaśmiała się cicho. Podczas gdy stado szukało gorączkowo, wesoło poprowadziła matkę prosto do jaskiń, które były ulubionym placem zabaw młodych młodych. „Gdy tylko go dotknąłem, wiedziałem, że ukrywa się w jednej z jaskiń, żeby oszukać naszego nauczyciela”.

Powietrze nagle pachniało piżmem kota Ice'a. Nos Cammy drgnął. Poczuli jego nagły przypływ gniewu.

– Niech zgadnę – młodym był Wściekłość – warknął.

Cammy zmarszczyła brwi, przyglądając się surowym rysom jego profilu. „Dlaczego wściekłość ci przeszkadza?”

– Nie wie – warknął. Następnie z widocznym wysiłkiem rozluźnił zaciśnięte mięśnie. "Nigdy więcej."

Cammy zamruwała. "Co to znaczy?"

„Dokładnie to, co powiedziałem”. Uniósł jedno ramię. „Nie muszę już zajmować się wściekłością”.

Cammy pokręciła głową. Ice nigdy tak naprawdę nie pasował do

niej i jej przyjaciół.

Kiedy zdecydował się pozostać w Wildlands, zamiast podróżować z rodzicami, natychmiast został wyniesiony do wyższych rang Łowców. Nic dziwnego z jego umiejętnościami, ale nie pasowało to do wszystkich młodszych mężczyzn. A jego brak zainteresowania próbą stania się częścią ich grupy tylko pogłębił niechęć.

– Zawsze takie tajemnicze – mruknęła.

Wzruszył ramionami. „Nigdy nie widziałem sensu w używaniu stu słów, kiedy mogę użyć dziesięciu”.

– Tak, zgadza się – mruknęła. „Po prostu lubisz grać rolę mistycznego, zawsze powściągliwego Lodu”.

Zapadła nieoczekiwana cisza i Cammy zdała sobie sprawę, że trafiła w czuły punkt. Widać to było w zaciśniętej linii jego szczęki i zaciśniętych kostkach na kierownicy.

– Nie wychowałem się w Wildlands – powiedział niskim tonem. „Nie nawiązałem tej samej więzi z naszymi kolegami ze stada, co jest dla ciebie tak łatwe”.

Przeszył ją żal. Ice zawsze był tak... powściągliwy, że nigdy nie brała pod uwagę faktu, że może nie czuć się komfortowo w ich towarzystwie. Teraz była zmuszona zaakceptować, że nie była sprawiedliwa. Obwiniła go o swój niepokój związany z jego obecnością.

– Musiało być samotne – mruknęła.

Rzucił jej zaskoczone spojrzenie, wyraźnie nieprzygotowany na jej próbę zaoferowania gałązki oliwnej.

„Czasami” – przyznał. „Ale miałem wykształcenie od najlepszych naukowców z całego świata i umiejętność rozwijania różnych umiejętności walki. I oczywiście co kilka miesięcy wracaliśmy do Wildlands, aby wypuszczać nasze koty.

Część jej zazdrościła mu podróży. Jej rodzice rzadko opuszczali Wildlands, uważając ludzi za niebezpieczne bestie, których należy unikać za wszelką cenę. Co oznaczało, że Cammy miała bardzo ograniczoną możliwość odkrywania świata.

„Dlaczego nie dołączyłeś do nas, kiedy postanowiłeś wrócić do domu?” zażądała.

Zwrócił wzrok na drogę. Czy było coś, co przed nią ukrywał?

„Byłem bardziej zaawansowany” – powiedział. „Bardziej sensowne było spędzanie czasu z dojrzałą Panterą”.

Przewróciła oczami. Dobra. Nie była całkowicie winna ich niezręcznej relacji.

– Arogancki tyłek – mruknęła.

Jego usta drgnęły. "Prawdopodobnie."

"Zdecydowanie."

Ice był na tyle sprytny, by się nie kłócić. Był aroganckim dupkiem. Choć Cammy zaczynała podejrzewać, że chodziło nie tyle o zarozumiałość, ile o czystą pewność siebie połączoną z introwertyczną naturą.

Przejechali kilka mil, zanim Ice nagle przerwał ciszę.

„Wytłumaczyłem sobie mój sporadyczny dyskomfort związany z byciem częścią gangu” – powiedział.

Cammy uniosła brew. "Banda?"

Zignorował jej drwiny. "Teraz twoja kolej. Dlaczego podejmujesz takie wysiłki, aby mnie unikać?"

– Ja nie... Odgryzła instynktowne zaprzeczenie, gdy rzucił jej zmrużone oczy. Czy potrafił czytać w jej myślach? "Dobra. Mogę cię unikać."

"Czemu?"

Zgarbiła ramiona. „Widzę, jak na mnie patrzysz”.

Szarpnął się, jakby go uderzyła. „Jak na ciebie patrzę?”

Spojrzała na niego. Czy myślał, że jest głupia? Nawet niewidoma kobieta nie mogła być nieświadoma jego nieustannego

spojrzenia.

– Jakbym była robakiem, który właśnie wyczołgał się spod skały – warknęła.

Dżip nagle zwolnił, gdy zdjął nogę z pedału gazu, patrząc na nią z czystym niedowierzaniem. "To ty tak myślisz?"

Powoli skinęła głową, zaskoczona, kiedy odchylił głowę do tyłu, by roześmiać się z szokującym rozbawieniem.

Cammy skrzywiła się, rozgniewana jego reakcją, nawet gdy jej serce straciło bicie. Niebiosa. Zawsze był wspaniały. Ale kiedy się śmiał, jego rysy straciły wyraziste rysy, a jego oczy stały się świetliście niebieskie.

– Nie wiem, co jest tak zabawnego – mruknęła.

Jego wzrok przesunął się po jej zarumienionej twarzy, zatrzymując się na miękkich krzywiznach jej ust, zanim zwrócił uwagę na drogę. "Zaufaj mi. Nigdy nie myślałem o tobie jak o robaku.

Czując się dziwnie bezbronna, Cammy zerknęła na migotanie świateł, które wskazywały na leżące niedaleko miasto.

– Wątpię, czy kiedykolwiek o mnie pomyślałeś – powiedziała.

„Co tylko dowodzi, jak mało mnie znasz”.

Cammy zacisnęła usta. Nie rozumiała tego mężczyzny. Wściekłość była czarująca, otwarta i zupełnie nieskomplikowana.

Ale Ice...

Był jak zawiła łamigłówka, która fascynowała ją w tym samym czasie, kiedy całkowicie ją sfrustrował.

Kręcąc głową, Cammy skoncentrowała się na maleńkim szarpnięciu, które ostrzegało ją, że muszą skrócić.

– Musimy skrócić na wschód – powiedziała.

– Cholera – mruknął Lód.

"Co jest nie tak?"

– Muszą jechać na międzystanową – powiedział tonem pełnym rezygnacji. „Miałem nadzieję, że zatrzymają się w pobliskim domu”.

Cammy skrzywiła się. „Od kiedy nasi wrogowie zrobili coś łatwego?”

"Prawdziwe."

Usiadł z powrotem na swoim miejscu, Ice skręcił w zjazd, który zaprowadziłby ich na drogę międzystanową, gdy świt wspiął się na horyzoncie, malując niebo delikatnymi odcieniami różu.

Karen obudziła się z głębokiego snu i odkryła, że jest obecnie zamknięta w klatce z ciężkimi stalowymi prętami.

Dysząc w szoku, przeturlała się na bok, spadając z wąskiego łóżka, na którym leżała, prosto na twardą cementową podłogę. Jęknęła, gdy uderzenie przeszło jej bolącą głowę. Co za cholera? Leżąc na boku, zajrzała do długiego pokoju, jasno oświetlonego jarzeniówkami na suficie. Były w

szafki magazynowe na jednej ścianie i lodówki ze stali nierdzewnej na drugiej. Na środku pokoju znajdował się wózek, który był otoczony tacami na kółkach, które zwykle znajdowały się w szpitalach.

To było laboratorium. I była zamknięta w klatce.

Tak jak ten, w którym była uwięziona przez ponad dwanaście lat.

Jej żołądek skurczył się, strach na chwilę ją sparaliżował. Następnie, z wielkim wysiłkiem, wezwała odwagę, która pozwoliła jej przeżyć.

Nie. O nie. Nie znowu.

Była ofiarą raz, ale byłaby przeklęta, gdyby kiedykolwiek miała być ofiarą ponownie.

Zaciskając zęby, Karen zdołała zmusić się do podniesienia się na ręce i kolana, czółgając się do drzwi swojego ciasnego więzienia. Właśnie zdołała owinąć ręce wokół krat, kiedy usłyszała charakterystyczny dźwięk zbliżających się kroków.

"Witam?" zawołała. "Czy jest tu ktoś?"

— Dobrze — odezwał się niski męski głos z cienia drzwi po drugiej stronie laboratorium. „Obudziłeś się”.

Zamarła. W tym głosie było coś znajomego. Zadrapał na skraju jej umysłu.

Czy to był jeden z jej poprzednich oprawców?

"Kto tam?"

Nastąpiła krótka pauza. — Nie czas na prezentacje — wycedził w końcu tajemniczy mężczyzna. "Jeszcze nie."

— Przynajmniej wejdź w światło, żebym mógł cię zobaczyć.

— Nie sądzę.

Karen zmarszczyła brwi. Dlaczego miałby się ukrywać?

„Czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, gdzie jestem?”

„Gdzieś, gdzie będziesz bezpieczny”.

"Czy to żart?" Palce Karen zacisnęły się na kratkach, potrząsając drzwiami. Nic dziwnego, że nie ustąpił. „Jestem zamknięty w klatce jak zwierzę. To nie jest dla mnie bezpieczne”.

— Niezbędne środki ostrożności — mruknął nieznajomy, jakby próbował ją uspokoić.

Karen zamrugnęła, by powstrzymać łzy. Pracowała w swoim biurze w Pantera Wildlands, kiedy usłyszała eksplozję, po której szybko nastąpił odgłos włamanego okna. Miała mniej niż ułamek sekundy, by dostrzec intruza ubranego na czarno. weszła do pokoju, zanim poczuła, jak pięść łączy się z jej ustami, po której szybko następuje kolejny cios w skroń.

Potem wszystko pociemniało.

– Nie rozumiem – wydyszała. „Dlaczego zostałem zabrany?”

Mężczyzna cmoknął językiem. Jakby niecierpliwił się jej pytaniami. "Mówiłem Ci. Aby zapewnić ci bezpieczeństwo.

Karen nie chciała milczeć. Desperacko chciała wiedzieć, co się stało. "Co z innymi?"

„Jacy inni?”

"Moi przyjaciele. Mój... – Odgryzła swoje słowa. Nie wiedziała, dlaczego została zabrana, co oznaczało, że nie wiedziała, czy podzielić się informacją, że ma trzech biologicznych synów. Dwa zostały jej już skradzione. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zrobienie jedyne dziecko, któremu udało się uratować cel. Ale z drugiej strony, jeśli dokładnie wiedzieli, gdzie ją znaleźć, wątpliwe było, aby nie wiedzieli o Calebie. – Mój syn – zakończyła.

Rozległ się nieomylny dźwięk obrzydzenia. „Ich los nie jest moim problemem”.

Przechyliła brodę pod wyzywającym kątem. "Są moje."

– Z czasem je zapomnisz – wycedził nieznany mężczyzna.

Jej oddech syczał przez zęby. Mężczyzna oszalał, jeśli myślał, że kiedykolwiek zapomni o swoich przyjaciółkach, nie mówiąc już o synach.

– Nie – syknęła, zmrużyła oczy. "Nigdy."

W laboratorium rozległ się przerażający śmiech. "Będiesz. Znam cię lepiej niż ty sam." Nastąpiła długa przerwa, zanim w końcu wyszeptał jej imię. – Karen.

Karen wzdrygnęła się. Bóg Wszechmogący.

To było inne niż za pierwszym razem, kiedy została porwana.

Wtedy to było kliniczne. Brutalnie oderwany. Była kłacz hodowlaną, która miała produkować hybrydowe dzieci Pantera.

Teraz było to dziwnie intymne. Jakby jej porywacz wierzył, że

naprawdę ją zna.

Co było bardziej niepokojące niż traktowanie jak klacz hodowlana.

Może jednak wykorzystać jego dziwne zachowanie na swoją korzyść.

„Proszę, puść mnie”, błagała łagodnym tonem.

– Odpreż się – mruknął. – Wyślę ci obiad. Myślę, że docenisz mojego szefa kuchni. Pracował kiedyś w pięciogwiazdkowym hotelu. Teraz z przyjemnością mi służy. Jego niski chichot sprawił, że przebiegł jej dreszcz. „Tak jak chcesz”.

Usłyszała szuranie, jakby nieznajomy odwracał się do wyjścia. Ogarnęła ją panika. "Czekać."

„Wróćę, kiedy bardziej przyzwyczaisz się do swojego nowego domu” – obiecał.

Odgłos cofających się kroków ostrzegł ją, że krótkie spotkanie dobiegło końca. Ona była sama.

Ponownie.

Z cichym okrzykiem rozpaczony Karen oparła głowę o zimne kraty celi. "Nie."

ROZDZIAŁ 3

Ice zjechał z autostrady, zatrzymał się na parkingu i zaparkował samochód.

Przez ostatnie pół godziny Cammy coraz bardziej się wycofała, jej brwi zmarszczyły się z troski. Najwyraźniej coś było w jej głowie.

Obracając się na swoim miejscu, przyglądał się jej napiętym rysom. „Powiesz mi, co jest nie tak?”

Wyjrzała przez okno, omiatając wzrokiem sosny skąpane w złocie w porannym słońcu.

„Wyczuwam Karen, ale czuje się bardzo odległa” –

powiedziała. – Bardziej odległa, niż powinna być.

Ice zmarszczył brwi, niepewny, co próbuje mu powiedzieć. „Nie zyskujemy na nich?”

"Nie." Potrząsnęła zdecydowanie głową. „Na początku myślałem, że to tylko dlatego, że mieli przewagę nad nami. Ale...
–

Jej słowa ucichły, jakby pogrzyżała się w myślach.

– Cammy? w końcu odpowiedział.

– Jest za daleko, żeby mogli jechać – powiedziała w końcu.

Zastanawiał się przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad różnymi powodami, które wyjaśniałyby poczucie dystansu u Cammy.

Możliwe, że Karen opuściła Wildlands przed wybuchem. Nie – Indy wskazał, że Karen była widziana w klinice niedługo przed tym, jak rozpętało się piekło.

Co oznaczało, że było tylko jedno rozsądne wytłumaczenie.

– Myślisz, że polecieli?

Powoli skinęła głową. „To by wyjaśniało, dlaczego na nich nie zyskujemy”.

Lód rozchylił usta tylko po to, by je zatrzasnąć, gdy uderzyło go nagłe wspomnienie.

Wrzucił bieg i wyjechał z miejsca odpoczynku, jadąc wąską drogą dojazdową, zamiast wracać na autostradę.

– Trzymaj się – mruknął, gdy podskakiwali nad gnijącym chodnikiem.

Cammy posłała mu zmieszane spojrzenie. "Gdzie idziemy?"

„Dranie, którzy trzymali Keirę w niewoli, opuścili teren korzystając z prywatnego lotniska niedaleko stąd”, powiedział, odnosząc się do siostry Parisha, która była więziona przez ludzi. „Myślę, że powinniśmy sprawdzić, czy możemy znaleźć

kogoś do przesłuchania”.

Cammy skinęła głową z aprobatą na jego sugestię, wysyłając przypływ ciepła przez Łód. Próbował zaprzeczyć swojej potrzebie szacunku tej kobiety, ale zawsze tam był, czając się tuż pod powierzchnią.

Wracając, Ice wybrał rzadko używane drogi prowadzące na lotnisko, które odkryli po uratowaniu Keiry. W tym czasie on i inni Łowcy ścigali uczniów, którzy czcili złą boginię, Shakpi. Ostatnio jednak szukali bezpośredniego związku z Benson Enterprises.

Niecałe dziesięć minut później zaparkował jeepa w małym zagajniku drzew tuż przy drodze. Było to idealne miejsce do zbadania dużego metalowego hangaru ze składanymi drzwiami, który zbudowano pośrodku pustego pola. Przed hangarem znajdowała się cementowa podkładka, która prowadziła do trawiastego obszaru, który został dokładnie przycięty, aby stworzyć pas startowy.

Szybki rzut oka upewnił ich, że są poza zasięgiem wzroku, i opuszczając okno, powąchał powietrze, wyczuwając, że w hangarze jest tylko jeden człowiek.

Idealny.

Ca

Mmy miała opuszczone własne okno, oddychając głęboko porannym powietrzem. – Karen tu była.

"Tak. Porozmawiam z mężczyzną w środku. Ice sięgnął na tylne siedzenie i chwycił szarą bluzę z kapturem, zanim wysiadł z dżipa. Czekał, aż Cammy do niego dołączy, kiedy wkładał bluzę. – Zostań tutaj i czuwaj – rozkazał. „Wolę, żeby mi nie przeszkadzano”.

Uniosła pistolet, który najwyraźniej wyciągnęła z plecaka. "Nie ma problemu."

Oparł się pokusie pochylenia się i musnięcia ustami pokusy jej warg. Jeśli zaczął ją całować, był całkiem pewien, że nie będzie w stanie przestać.

Poza tym... trzymała naładowany pistolet.

Nigdy dobra kombinacja, kiedy nie był pewien, czy chce być pocałowana.

Odwracając się, pobiegł w stronę metalowego budynku, podciągając kaptur, by ukryć twarz przed kamerami bezpieczeństwa. Dotarł do bocznego wejścia i przekręcił gałkę. Zablokowany. Zacieśniając uścisk, uderzył ramieniem w metalowe drzwi. Otworzyły się i Ice wszedł do środka, szybko przeszukując otwartą przestrzeń w poszukiwaniu człowieka.

Z tyłu hangaru, gdzie zaparkowany był mały samolot podporowy, rozległo się echo kroków. Okrążając skrzydło samolotu, niski, grubo umięśniony człowiek z brzęczącą fryzurą zmierzał prosto do Lodu. Jego kwadratowa twarz była zarumieniona z gniewu, gdy rzucił się do przodu, wyraźnie swędząc do walki.

„Hej idioto, nie umiesz czytać?” szczechnął. „To jest własność prywatna”.

Ice założył ręce na piersi. Jeśli jego ofiara chciała do niego podejść, to w porządku. Oszczędziło mu to trudu gonienia go.

„Szukam przyjaciół, którzy korzystali z tego lotniska” – powiedział. „Muszę wiedzieć, kiedy wyszli i dokąd poszli”.

Nieświadomy, że wszedł prosto w pułapkę, mężczyzna ruszył dalej. "Odpieprz się."

"To nie jest zbyt miłe."

Zaledwie kilka kroków od Lodu mężczyzna sięgnął po broń, którą ukrył pod skórzaną kurtką.

- Wynoś się stąd, zanim rozwalę ci mózg... Ramię

Ice wystrzeliło, gdy owinał palce wokół grubej szyi mężczyzny. Potem z brutalną siłą podniósł nieznajomego z nóg.

– Najwyraźniej twoja matka nie nauczyła cię żadnych manier – mruknął łagodnym tonem.

S3

Mężczyzna wiercił się, a jego twarz przybrała brzydki odcień szarości. – Nie wiesz, z kim się pieprzysz. Zraniłeś mnie i jesteś

trupem.

Ice potrząsnął głową, pozwalając opaść kapturowi. „Czy wyglądam na przestraszonego?”

Mężczyzna wydał zdławiony dźwięk szoku, gdy dostrzegł blask w oczach Ice. Jakby jego zdolność do podnoszenia dorosłego mężczyzny z ziemi jedną ręką nie zdradzała, że jest kimś więcej niż człowiekiem.

Idiota.

– Cholera – wypluł mężczyzna. „Jesteś jednym z tych zwierząt”.

"Niespodzianka." Pozbawiony humoru uśmiech rozciągnął usta Ice. „Teraz odpowiedz na moje pytania”.

– Właśnie dotarłem tu godzinę temu...

– Słowa mężczyzny urwały się w pełnym bólu westchnieniu, gdy Ice zacisnął palce, odcinając mu powietrze.

– Myślisz, że nie skręcę ci karku?

Upuszczając broń, mężczyzna sięgnął do nadgarstka Ice, bezskutecznie próbując się uwolnić.

"Nie. Proszę – wychrypiął, szczyry strach błysnął w jego ciemnych oczach. "Powie ci."

Ice zwolnił jego uścisk, ale utrzymał mężczyznę zwisającego z ziemi. Małe przypomnienie, że Ice mógłby zmiażdżyć mu gardło, gdyby nie był zadowolony z odpowiedzi mężczyzny.

– Porozmawiaj – rozkazał.

Człowiek oblizał usta. „Ward pojawił się kilka godzin temu i zażądał, żebym przygotował samolot”.

„Kto jest Wardem?”

„Jest gorącym strzelcem w Benson Enterprises”. Mężczyzna potwierdził podejrzenia Ice'a, że to lotnisko należało do ich wrogów. „Słyszałem plotki, że jest adoptowanym synem przywódcy”.

– Masz na myśli Christophera?

"Tak."

Hmm. Pantera miała nadzieję, że kiedy Stanton Locke został zabity przez jedną z jego własnych kohort, zdrada poważnie uszkodziła organizację Christophera. Jak zniszczenie Robina, by zranić Batmana.

Teraz wyglądało na to, że drań miał więcej niż jednego „adoptowanego” syna.

„Kto z nim był?” zażądał.

„Trzech lub czterech koleś. Zostali na zewnątrz. Myślę, że byli jego ochroniarzami.

"Ktoś jeszcze?"

Mężczyzna zaczął kręcić głową, tylko po to, by zmienić zdanie, gdy palce Ice zacisnęły się. "Czekać. Była kobieta – wyznał. „Była nieprzytomna”.

Ice zacisnął zęby. To musiała być Karen. „Czy ta kobieta została ranna?"

Mężczyzna zawahał się, jakby bał się przyznać do prawdy.

– Krwawiła z rozcięcia na wardze – powiedział powoli.

Ice wydał niski pomruk, a jego puma niespokojnie krążyła w frustracji. Jego zwierzę chciało krwi zamiast krwi. Jednak jego ludzka połowa rozumiała potrzebę informacji. „Gdzie oni jechali?"

"Nie wiem." Mężczyzna wrzasnął, gdy lód ścisnął się wystarczająco mocno, by zagrozić jego zdolności oddychania. "Zatrzymaj się." Zakaszłał, gdy Ice rozluźnił jego uścisk. „Ich plan lotu wymieniał małe lotnisko na południe od St. Louis”.

Św. Ludwik? Ice skrzywił się zmieszany. „Czy w pobliżu jest laboratorium Benson?"

"Nie wiem." Jego wyraz twarzy był błagalny. – Przysięgam, że nie wiem. Jestem tylko chrząknięciem. Nic mi nie mówią.

Ice mu uwierzył. Ten człowiek nie miał mózgu, by otrzymać wrażliwe informacje. Machnięciem ręki Ice posłał idiotę przez pokój.

„Na twoim miejscu szukałbym nowej pracy. Benson Enterprises niedługo zbankrutuje” – powiedział, odwracając się do hangaru.

Cammy czekała na niego obok jeepa, jej oszłamiające oczy błyszczały w słońcu fioletowym blaskiem. Kot Ice zamruczał z uznaniem, chcąc polizać jej kość słoniową od stóp do głów.

Jego piżmo przyprawiło powietrze, wywołując rumieniec na jej policzkach, ale ze sztywnym opanowaniem Łowcy utrzymywała swoje myśli skupione na swoich obowiązkach.

– Powiedz mi, czego się dowiedziałeś – poleciała.

Zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od jej bujnej postaci, doceniając jej umiejętności jako wojownika tak samo jak jej upojną kobiecą pokusę.

„Nic więcej niż fakt, że kierowali się na małe lotnisko na południe od St. Louis i że mieli ze sobą nieprzytomną kobietę” – powiedział.

Powoli skinęła głową. – Co oznacza, że Karen jest bardziej niż prawdopodobnie jeńcem, a nie kretem – mruknęła.

Uniósł brew. Jego sprytny kotek wyraźnie zdał sobie sprawę, że zniknięcie Karen mogło nie być prostym chwytem. Gdyby kobieta szpiegowała dla Benson Enterprises, jej „porwanie” równie dobrze mogłoby być podstępem, mającym na celu wydostanie jej z Wildlands bez spalenia jej kryjówki.

Ale było wątpliwe, żeby zadali sobie trud pozbawiania jej przytomności. Nie mogli podejrzewać, że będą śledzeni na lotnisko.

– Tak, na to wygląda. Wzruszył ramionami, wymieniając z Cammy spojrzenie, które upewniło ją, że zamierza pozostać na straży.

Nie brał niczyjej niewinności za pewnik.

Kiwnęła głową w milczącej zgodzie, okrążyła tył dżipa i wspięła

się z powrotem na siedzenie pasażera.

Ice wczuł się na swoje miejsce za kierownicą, spoglądając na kobietę u jego boku.

Wiedział, że pożądał jej bujnych kształtów i że jego kota intrygowała jej sprytny umysł i lojalność wobec stada. Teraz musiał dodać kolejny powód, by chcieć uznać Cammy za swoją własną.

Pracowali jako doskonały zespół.

To był jeden z takich snów.

Cammy westchnęła cicho, ciesząc się zmysłowym poczuciem oczekiwania, które przeszło przez nią dreszcze. Była w obcym pokoju, ale czuła się doskonale jak w domu, gdy szła po miękkim dywanie ubrana jedynie w krótką czarną szatę. Nie przeszkadzało jej nawet to, że z cienia obserwowało ją gorące spojrzenie.

Do diabła, udreńczyła się świadomością, że doprowadza męczyczynę do szaleństwa z potrzeby.

Z seksownym drgnięciem pośladków przesunęła się, by wczłgać się na szezlong, który był pokryty szkarłatną satyną, która była chłodna na jej skórze. Kocim ruchem potarła policzek o gładką tkaninę, powietrze pachniało znajomym męskim piżmem.

Ogarnął ją surowy żar.

Tak długo czekała na ten moment.

Może całe jej życie. Teraz chciała wywabić drapieżnika z cienia.

„Zamierzasz oglądać, czy dołączysz do mnie?” mruknęła ochryłym głosem.

Rozległ się niski męski chichot. Wtedy, dzięki magii, która mogła się zdarzyć tylko w świecie snów, sto świec zamigotało do życia.

W złoty krąg światła pojawił się lód. „Więc chcesz się bawić, kotku?”

Nie miał na sobie nic poza luźną parą spłowiałych dzinsów, które opadały mu nisko na biodrach. Jej usta wyschły, gdy jej kot otarł się o jej wewnętrzną skórę, pragnąc dotyku jego dłoni.

Był taki wspaniały.

Nie całkiem jak wściekłość. Nie. Był zbyt surowy. Zbyt wściekle męski.

Ale on rozpałił jej zmysły w sposób, o jakim nigdy nie marzyła.

To był bez wątpienia powód, dla którego tak bardzo starała się trzymać go na dystans.

Jej pociąg do Furi i wydawał się bezpieczny. Wygodna. Jak znoszony koc, którą mogła owinąć wokół siebie.

Z pewnością nigdy nie sprawiło, że jej serce przyspieszyło, ani nie zasnęła w nocy.

Ta potrzeba Lodu stawała się coraz bardziej dzika, grożąc wypaleniem się spod kontroli.

Na szczęście nie było powodu, dla którego nie mogła oddawać się swoim najskrytszym fantazjom w swoich snach.

Prawidłowy?

Jakby nagle obniżyła jakąś mentalną barierę, Lód poruszał się z płynną prędkością. Zadrzała, gdy przysiadł na krawędzi szezlonga, z rękami zaciśniętymi po obu stronach jej ramion, przytrzymując ją w kąciku.

Nie żeby ją to obchodziło. Chciała być uwięziona przez tego samca. Wciągając głęboki oddech, delektowała się egzotyczną przyprawą jego pizma.

„Kot ma twój język?” dokuczał.

Jej ręka sięgnęła, by uformować twarde płaszczyzny jego klatki piersiowej. Ciepło jego skóry paliło jej dłoń, sprawiając, że puma mruczała z zachwytem. – To ty twierdziłaś, że mniej słów jest

lepszyc.

Powolny, złośliwy uśmiech wykrzywił jego usta. "Więc zrobiłem."

Wystarczająco.

<

br /> To było jej marzenie i Cammy skończyła czekać na to, czego chciała.

Spuściła mu głowę i westchnęła z ulgą, gdy pochwycił jej usta w mocnym pocałunku. Gorąco skwierczało przez nią, sprawiając, że jej palce u nóg podkręciły się. Jej kot syknął, wciskając się pod jej skórę z paskudną przyjemnością.

Usłyszała, jak wydał niski pomruk, gdy jego język przesunął się między jej ustami, pchając w powolnym rytmie, który ścisnął jej żołądek z bolesną potrzebą.

Instynktownie wygięła się bliżej twardości jego ciała. Potrzebowała więcej.

Potrzebowała jego twardej długości głęboko w sobie.

– Lód – wydyszała, gdy jego usta wypalały ślad pocałunków wzdłuż jej szyi.

"Czy to jest to, czego chcesz?" – mruknął, przesuwając palcami po jej ciele, by chwycić pasek jej szaty. Jednym szarpnięciem rozpiął go i odsunął jedwabisty materiał, z rażącym opętaniem obejmował jej piersi.

„Tak”, zachęciła, jej serce waliło, gdy jego kciuki drażniły jej sutki do ciasnych pąków.

"Co powiesz na to?" Jego usta przesunęły się po linii jej obojczyka, przesuwając się w dół, by muskać krzywiznę jej piersi.

Z mruczącym dźwiękiem rozkoszy pacnął czubek jej sutka. Ciepka Cammy zacisnęła się na szorstkim zgrzycie jego języka na jej wrażliwym ciele.

Droga Bogini. Była gotowa na orgazm.

"Proszę." Jej paznokcie wbiły się w jego klatkę piersiową. "Chcę

ciebie."

— Wiem, Cammy — mruknął, poruszając się gwałtownie, aż zszedł z szeslonga i ukląkł między jej nogami.

Cammy próbowała go odciągnąć, ale unikając jej rąk, szybko ściągał ją z szaty. Dobra. Podobało jej się, dokąd z tym zmierzał.

Wyciągając rękawy, pozwoliła mu odciągnąć cienki materiał. Potem, przyglądając mu się z na wpół przymkniętymi oczami, jęknęła zachęcająco, gdy jego sprytne palce delikatnie przesunęły się po jej nagim ciele.

O tak. Najwyraźniej dokładnie wiedział, co robi.

Czy był tak uzdolniony w rzeczywistości?

Założyła się, że tak. Ice był mężczyzną, który doceniał bycie najlepszym.

W ogóle.

— Chryste, jesteś piękna — wydyszał, zanim pochylił się, by wciągnąć jeden stwardniały sutek do ust.

Oddech Cammy syknął między jej zaciśniętymi zębami. Miała różne fantazje seksualne. Mogła myśleć, że jej przeznaczeniem jest Wściekłość, ale lubiła wyobrazać sobie w swoich snach różnych mężczyzn.

Ale żaden z nich nigdy nie wzbudził dzikiego głodu, który sprawiał, że skrecała się pod jego dotykiem.

Kto mógł przypuszczać, że to twarde Ice może ją podpalić?

Jej palce zacisnęły się na jego włosach, gdy poczuła zgrzyt jego szeptów na jej wrażliwym ciele.

— Cieszę się, że to sen — szepnęła.

"Czemu?" Przesunął usta do jej drugiej piersi, drażniąc twarde pączek zębami, zanim zamknął na nim usta.

Cammy jęknęła, gdy oparł się o nią ciężko, przyciskając ciało do zbiegu jej nóg. Z każdym ruchem ocierał się o jej czułą

łechtaczkę, wysyłając przez nią wstrząsy elektrycznego podniecenia.

Jej dłonie poruszały się niespokojnie, by głaskać jego ramiona, rozkoszując się dotykiem jego twardych, falujących mięśni pod palcami. Był taki solidny, taki silny.

Tak realne.

– Przerazasz mnie.

– Cammy – jęknął, unosząc głowę, by zanurzyć usta w zagłębieniu jej szyi. "Nigdy bym Cię nie zranił."

Jego oddech szeptał na jej skórze, nawet gdy poczuła, jak jego palce przesuwają się po napiętej płaszczyźnie jej brzucha i krzywiznie jej bioder. Cammy zadrżała, przeszło ją szokujące ciepło.

– Nie, ale byś mnie pochłonał.

Zachichotał. – O tak, kotku. Obudzony lub śpiący, pochłonę cię.

Prawie zeskoczyła z kanapy, gdy jego szukająca dłoń w końcu dotarła do nagiej skóry jej ud. Tak tak tak. Była w ogniu. Jakby jej krew zamieniła się w stopioną lawę.

Obejmując jej usta w pożerającym pocałunku, Ice kontynuował swoje delikatne pieścizny. Jego palce głaskały coraz wyżej i wyżej. I nagle znalazł wilgotne ciepło jej cipki.

Cammy krzyknęła z zachwytu sekundę, zanim zakrył jej usta głębokim, zaborczym pocałunkiem. Jej kot ryczał z wściekłej przyjemności, ciemny głód groził jej przytłoczeniem.

Chwyciła jego ramiona, wbijając palce w jego ciało, gdy instynktownie wyginała się pod jego nacierającym dotykiem.

Powolnym pchnięciem przycisnął palec głębiej, używając kciuka do pocierania jej wrażliwej łechtaczki. Głęboko w niej narastał nacisk, gdy jego palec wsuwał się i wysuwał z niej. Cudowny, bolesny nacisk, który w każdej chwili groził rozbiciem.

– Lód... proszę – ucięła. Desperacko pragnęła poczuć, jak jego twarde ciało ją okrywa, gdy wbija się głęboko do środka.

Z nikczemną umiejętnością Ice spływała po jej szyi ścieżką palących pocałunków. Czubkiem języka prześledził linię jej obojczyka. Rytm jego palca przyspieszył, gdy jęknęła. I pochylił głowę w dół, przycisnął usta do czubka jej piersi i ssał ze słodkim uporem.

Nieświadoma wszystkiego oprócz przeszywających ją doznań, Cammy owinęła nogi wokół talii Ice, całe jej ciało wygięło się w łuk. Unosiła się na grzbiecie rajy.

Jego kciuk nacisnął dokładnie na jej lechtaczkę i na chwilę zapierającą dech w piersiach świat się zatrzymał. Idealny moment poza czasem. Potem magicznym pociągnięciem jego palców została przerzucona przez krawędź iz jej gardła wyrwał się okrzyk zaskoczenia błogości.

Do diabła.

To było wspaniałe.

Wciąż trzęsąc się od siły szczytowania, Cammy starała się zignorować uporczywy dźwięk jej imienia szeptanego jej do ucha.

Cholera, cieszyła się chwilą. Dlaczego Ice nie zostawił jej w spokoju?

Powoli mgła przyjemności zaczęła znikać i Cammy zdała sobie sprawę, że to nie jej sen szepnął jej do ucha Lód, ale bardzo prawdziwy Lód.

Wyrywając się ze snu, otworzyła oczy i stwierdziła, że jest przytulona do siedzenia pasażera jeepa, a Ice pochyła się na tyle blisko, że czuła muśnięcie jego ciepłego oddechu na policzkach.

Jej twarz zarumieniła się od nagłego gorąca.

Nie zawstydzienie z powodu wybudzenia ze snu seksualnego, ale przez błysk pierwotnego pożądania. Wyglądało to tak, jakby jej fantazje erotyczne tylko zintensyfikowały jej potrzebę mężczyzny.

Nie. Nie mężczyzna.

Na lód.

Zaniepokojona uświadomieniem sobie, Cammy gwałtownie wyprostowała się na swoim miejscu, desperacko próbując zrobić między nimi przestrzeń.

– Przepraszam, nie chciałam zasnąć – mruknęła, zwracając uwagę na otoczenie. Cokolwiek, by uniknąć jego przeszywającego niebieskiego spojrzenia.

– Niczego nie przeoczyłeś – mruknął dziwnie ochrypłym głosem, gdy sięgnął, by założyć jej luźny lok za ucho.

Odmówiła spojrzenia w jego kierunku. Istniało już ryzyko, że złapie zapach jej podniecenia. Nie chciała, żeby zobaczył ciepło jej kota w jej oczach. „Mógłbym pomóc w prowadzeniu samochodu”.

Wyłączył silnik i pchnął drzwi. „Czy myślisz, że jestem mężczyzną, który kiedykolwiek jeździ na siedzeniu pasażera?”

Jej napięcie rozproszyło się, gdy celowo poprawił nastrój, wyraźnie świadomy jej niepokoju i mając nadzieję, że sprawi, że będzie jej wygodnie. Ta wiedza pozwoliła jej odwrócić się i posłać mu drażniący uśmiešek.

– Widzisz, mówiłem ci... arogancki dupek.

Roześmiał się, wysiadając z dżipa i czekając, aż złapie plecak i dołączy do niego z przodu pojazdu.

„Muszę rozprostować nogi” – powiedział. „A jeśli nie dostanę czegoś gorącego w żołądku, zemdleję”.

Na zawołanie w brzuchu Cammy zaburczał głód. Kiedy spała, minął cały dzień. Teraz zdała sobie sprawę, że umiera z głodu.

"Gdzie jesteśmy?" – zażądała, rozglądając się po gęstych lasach otaczających dużą, rustykalną chatę ze spadzistym dachem i otaczającą werandą.

Machnął ręką w stronę drzew. „Jesteśmy w środku schroniska dla dzikich zwierząt w południowym Missouri”. Kładąc rękę na jej dolnej części pleców, popchnął ją wąską ścieżką. „Kabina należy do Beli

se. Zadzwoń do niej, żeby zobaczyć, czy możemy go wykorzystać na odpoczynek przez godzinę lub dwie.

Imię wywołało w Cammy dziwne irytujące ukłucie. Co było śmieszne. Ledwo знаła kobietę Dyplomatkę. Cóż, wiedziała, że jest piękna. I wyrafinowana. I że większość mężczyzn robiła z siebie idiotów, żeby przyciągnąć jej uwagę, ilekroć spędzała czas w Wildlands.

Czy to obejmowało lód?

Wspinając się na ganek, odsunęła się na bok, usuwając jego ociągającą się rękę. Ice posłał jej zdziwione spojrzenie, po czym zwrócił uwagę na elektroniczny pad, na którym wstukał prywatny kod.

Drzwi otworzyły się i Cammy weszła do środka, jej oczy rozszerzyły się na widok eleganckich mebli i bezcennych antycznych ozdób wystawionych w szklanych gablotach.

– Wow – wydyszała.

– Tak – zgodził się Ice, stając za nią. „Moja kuzynka lubi w życiu lepsze rzeczy. Przed powrotem do Stanów mieszkała w Paryżu”.

Cammy zamrugła zdziwiona. "Kuzyn?"

Przesunął dłonią po jej plecach. – Nie wiedziałeś?

Potrząsnęła głową iz zadowolonym z siebie chichotem, który powinien ją wkurzyć, ruszył w kierunku drzwi prowadzących do kuchni.

- Nie jestem pewien, czy wiem o tobie coś poza tym, że podróżowałaś z rodzicami i że Parish uważa cię za jednego ze swoich najbardziej zaufanych Łowców.

Jego palce objęły jej biodro, subtelnie przyciągając ją bliżej swojego twardego ciała, gdy zatrzymali się na środku wyłożonej kafelkami podłogi.

– Założyłem, że nie jesteś zainteresowana – mruknął, jego zamyślony wzrok przesunął się po jej twarzy. „Czy to się zmieniło?”

Cammy zadrżała, wyczuwając, że coś się zmieniło.

Po prostu nie wiedziała, co to jest, do diabła.

– Ja... – Jej słowa ucichły, gdy przygryzła wargę.

Na szczęście wyczuł jej zmartwienie i z krzywym uśmiechem ponaglił ją do pobliskiego baru śniadaniowego.

„Belise obiecała, że zamrażarka jest w pełni zaopatrzona” – powiedział. „Usiądź przy stole, a ja ugotuję nam kilka steków”.

On gotował?

Z westchnieniem Cammy zajęła swoje miejsce i patrzyła, jak soczysty mężczyzna porusza się po kuchni z kompetentną łatwością. Miała kłopoty.

Wielkie, wielkie kłopoty.

S4

ROZDZIAŁ 4

Karen była przygotowana, gdy męski głos przemówił do niej z cienia.

„Podobał ci się obiad?” – zapytał tajemniczy mężczyzna.

Karen przykleiła uśmiech na ustach. Podczas niekończących się godzin oczekiwania na powrót porywacza, doszła do wniosku, że jej jedyną nadzieją jest próba nawiązania osobistego kontaktu. W przeciwieństwie do ostatniego porwania, ten samiec nie traktował jej jak kawałka mięsa, którego potrzebowali do swoich chorych eksperymentów. Mówił do niej jak do prawdziwej kobiety.

Byłem daleki od strzału, ale może rzeczywiście zdoła go przekonać, żeby wypuścił ją z klatki.

Stamtąd... cóż, krok po kroku.

"To było pyszne. Dziękuję – mruknęła, wstając z łóżka, by stanąć przy drzwiach klatki. Wciąż była słaba, a głowa wciąż pulsowała, ale była w stanie stać dzięki naprawdę pysznemu jedzeniu, które dostarczano w ciągu dnia. „Nadal nie znam

twojego imienia”.

Zapadła długa cisza, zanim w końcu odpowiedział. "Oddział."

– Oddział – powoli powtórzyła imię. Nie było to znajome, ale nie było to zaskakujące. Niewielu z jej oprawców kiedykolwiek zadało sobie trud, by się przedstawić. "Czy ja cię znam? Sprzed?"

Jego dziwny śmiech odbił się echem w pustej przestrzeni. "Mogłbys to powiedzieć."

Karen zmarszczyła brwi. Wyczuła w jego słowach podwójne znaczenie, ale nie zrozumiała.

„Dlaczego nie pokażesz mi swojej twarzy?” zapytała.

– Bo chcę, żebyśmy najpierw lepiej się poznali – warknął nagle.

Karen chwyciła kraty, ukrywając swój błysk zniecierpliwienia za napiętym uśmiechem. Mężczyzna wydawał się nerwowy. Jakby w każdej chwili mógł zakończyć rozmowę. To do niej należało zatrzymanie go tam i mówienie.

– Dobra – uspokajała łagodnym tonem. "Co chcesz wiedzieć?"

Rozległ się szuranie stóp, jakby podszedł bliżej drzwi. „Dlaczego uciekłeś?”

"Uciec?" Zamrugwała zmieszana.

– Kiedy pracowałeś dla laboratoriów Benson – mruknął. – Po prostu zniknąłeś.

Żartował?

Powoli pokręciła głową. „Nie uciekłem. Indy przyszedł i pomógł mi uciec. Byłem przetrzymywany jako więzień”.

Usłyszała jego ostry wdech. – Nie mów tak.

Zmieszanie Karen pogłębiło się. – Co powiedzieć?

– Że byłeś więźniem.

„Dlaczego nie miałbym?” zapytała. "To prawda."

"Nie. Byłeś wolontariuszem, a nie więźniem.

Karen wzdrygnęła się, jakby została spoliczkowana. Przez chwilę podejrzewała, że okrutnie z niej drwi. Czy sprawiało mu przyjemność udawanie, że nie była porwana, maltretowana i torturowana od ponad dziesięciu lat?

„Nie jestem pewna, kto ci to powiedział, ale zostałam porwana w wieku siedemnastu lat, kiedy wracałam do domu ze szkoły”, powiedziała, zmuszając swój głos do zachowania spokoju pomimo brzydkich emocji skręcających jej wnętrzności w supeł. „Wyrwali mnie z ulicy i wrzucili do klatki”.

Nastąpiło dalsze szuranie, prawie tak, jakby mężczyzna walczył z chęcią wtargnięcia do laboratorium.

– Przeczytałem twoje akta – powiedział głosem wibrującym z nutą warczenia. Czy był Panterą? A może hybryda? — Jest napisane, że przybyłeś do Benson Enterprises i błagałeś o przyjęcie w charakterze wolontariusza. Powiedział, że twoja matka była agresywna...

– Moja matka nigdy by mnie nie skrzywdziła – przerwała ze złością. Nie pozwoli nikomu rozpowiadać paskudnych historii o jej ukochanej matce.

Nawet jeśli oznaczało to narażenie się na niebezpieczeństwo.

Wyraźnie sfrustrowany jej odmową zagrania w jego grę, mężczyzna uderzył głośno pięścią w otwarte drzwi. – Przestań – warknął. "Dlaczego kłamiesz?"

Karen zmarszczyła brwi. Naprawdę wierzył w to, co mówił. Tajemniczy mężczyzna myślał, że z radością zgodziła się zostać kłaczą hodowlaną i mogła odpłynąć, kiedy tylko chciała.

Wciągając głęboki oddech, wsunęła rękę w stalowe pręty, wyciągając rękę w błagalnym ruchu.

– Mówię prawdę, Ward – zakłąła. „Ktokolwiek napisał plik, który czytałeś, rozpowszechniał kłamstwa”.

– Nie wierzę ci – wysyczał przez zaciśnięte zęby. „Zgłosiłeś się na ochotnika, ale po urodzeniu dzieci zmęczyło cię przebywanie

w laboratorium. Zabrałeś swoje ulubione dziecko i odszedłeś.

– Nigdy – wychrypiała. "Nigdy nigdy nigdy."

– Tak – upierał się, brzmiąc jak rozdrażniony dzieciak.

Karen zachwiała się, zaciskając oczy.

"Posłuchaj mnie. Nigdy nie zostawiłabym swoich dzieci – upierała się głosem zachrypniętym bólem. Jak śmie sugerować, że kiedykolwiek porzuci swoje dzieci? Nie było nocy, która by nie krzyczała w agonii, dziura w środku jej serca nigdy się nie zagoiła. „Po urodzeniu zabrano mi moich synów. Nie pozwolono mi nawet ich trzymać. To złamało mi serce, ale na szczęście Indy przybył, aby uwolnić mnie z klatki” – powiedziała. Była tak blisko porzucenia wszelkiej nadziei, kiedy młody Indy śmiało wkradł się do laboratorium i ją wypuścił. – Znalazłam Caleba przywiązanego do noszy, traktowanego jak... – Jej głos załamał się na rozdzierające serce wspomnienie Caleba związanego skórzanymi paskami, jego chude ciało niewiele bardziej niż skóra i kości oraz włosy splamione brudem. Jeszcze bardziej zdumiewające było szybkie tempo jego wzrostu. Dopóki w końcu nie zabrała go do Wildlands, dojrzał prawie dwa razy szybciej niż normalny człowiek. Bez wątplenia reakcja na jego DNA Pantery. „Szukałem moich pozostałych synów, ale nie mogłem ich znaleźć. Więc uwolniliśmy wszystkich więźniów, których udało nam się znaleźć, i spaliliśmy laboratorium.

– A teraz zaczęłaś nowe życie – wycedził, najwyraźniej nie będąc pod wrażeniem jej historii.

„Zrobiłam co w mojej mocy, żeby zacząć od nowa” – zgodziła się z wahaniem. Czego od niej chciał?

Znowu uderzył pięścią w drzwi. „Zapominając o tych, których zostawiłeś”.

Potrząsnęła głową. „Nigdy nie zapomnę moich synów. Są moim sercem”.

– Łatwo powiedzieć – wychrypiał.

Karen nagle zeszywniała. Drogi Boże. Czy to możliwe...?

Chwyciwszy pręty klatki, z frustracją potrząsnęła drzwiami. „Czy

wiesz, gdzie mogę je znaleźć?” zażądała. „Czy znasz moich synów?”

Zapadła długa, rozdzierająca cisza, zanim w końcu odpowiedział. "TAK."

"Drogi Boże." Jej kolana groziły ugięciem się od intensywnej ulgi, która ją przeszła. "Powiedz mi co wiesz. Proszę. Zrobię wszystko, o co poprosisz. Byle co."

Jakby jej rozpaczliwe prośby pobudziły wreszcie tajemniczego mężczyznę do działania, nastąpiła fala ruchu i wszedł do laboratorium.

Karen miała zdezorientowaną sekundę, kiedy zaakceptowała mężczyznę jako obcego.

Wyglądał na dwadzieścia kilka lat, z szczupłym, muskularnym ciałem wielu Panter, okrytym drogim szarym garniturem. Potem fluorescencyjne światła złapały czerwone pasemka w jego krótko przystrzyżonych włosach i zamigotały w zielonych oczach.

Jej serce odmówiło bicia, gdy przyjrzała się bladym, eleganckim rysom, które prawie dokładnie pasowały do Caleba.

O drogi panie...

Jej kolana ugięły się, gdy świat pociemniał. Z cichym jękiem Karen upadła na twardą podłogę.

Ice starał się skoncentrować na utrzymaniu jeepa na coraz węższych drogach, gdy Cammy prowadziła go przez ciemność.

Zadanie znacznie trudniejsze niż powinno.

Cholera. Powinien był skorzystać z ich postoju w domku, żeby z nią porozmawiać. To właśnie zamierzał zrobić. W końcu doskonale zdawał sobie sprawę, że spędziła popołudnie śniąc o nim.

Wyczuł charakterystyczny zapach jej podniecenia, nawet gdy cicho wyszeptała jego imię.

Ale nie przegapił jej ostrożnych spojrzeń ani sposobu, w jaki utrzymywała między nimi fizyczny dystans. Mogła powoli akceptować, że pociągał ją seksualnie, ale wciąż walczyła z formującą się głębszą świadomością.

Jego kot zachęcał go do rzucenia się, ale jego ludzkie serce ostrzegało, że naciskanie jej zbyt mocno, zbyt szybko może zrujnować jakąkolwiek nadzieję na zdobycie jej jako swojej partnerki.

Poza tym byli na misji

by wytropić swoich wrogów i odzyskać jednego z porwanych towarzyszy.

Nie jest to dokładnie czas ani miejsce na ujawnienie swoich najskrytszych uczuć.

Ale kiedy zbliżali się do celu, Ice poczuł żal w dole żołądka.

Zmarnował lata. Po pierwsze, próbując zignorować jego uczucia do niej. A potem będąc zbyt tchórzliwym, by wysuwać swoje twierdzenia.

Czy naprawdę był gotów narazić się na niebezpieczeństwo, nie mówiąc Cammy, jak się czuje i czego od niej chce?

— Skreć w lewo w następną drogę — powiedziała Cammy, przerywając jego wewnętrzne myśli. — Powinna być tuż przed nią.

Podjąwszy decyzję, Ice zmusił się do skupienia się na otoczeniu.

Przez ostatnią godzinę jechali przez puste pola uprawne, ale gdy Ice skreślił dżipem po niedawno żwirowanej drodze, jego nocne spojrzenie dostrzegło zarys odległych budynków.

Zatrzymał się i pochylił do przodu, przyglądając się wysokiemu płotowi z siatki, który otaczał kompleks przemysłowy. Dostrzegł trzypiętrowy centralny budynek z betonowych bloków, z kilkoma mniejszymi konstrukcjami, które wyglądały jak koszary. Na drugim końcu znajdował się pas startowy z metalowym hangarem.

— Wygląda jak opuszczony obiekt wojskowy — mruknął.

— Nie do końca porzucone — odparła Cammy, wskazując głową samolot podpierający stojący w pobliżu hangaru. — Ktoś tu jest.

Ice spojrział w kierunku ogrodzenia. Nawet z daleka dostrzegł kamery schowane za drutem kolczastym u góry. Widział też maleńkie czujniki, które, jak przypuszczał, były czujnikami ruchu. Nie byłoby łatwo podejść, nie będąc zauważonym.

„Musimy zrobić przegląd, aby sprawdzić zabezpieczenia, zanim spróbujemy wejść” — ostrzegł.

Cammy pochyliła się, wyciągając pistolet z plecaka u jej stóp.

„Pojadę na południe i spotkamy się po drugiej stronie,” powiedziała natychmiast w trybie wojownika.

Jego ciało mrowiło z męskiej wdzięczności. Czy było coś bardziej seksownego niż silna, piękna kobieta?

Wyciągnął rękę, gdy pchnęła drzwi, chwytając ją za ramię. "Czekać."

Obejrzała się zdezorientowana. "Co jest nie tak?"

Pozwolił, by jego palce przesunęły się w górę, śledząc linię jej ramienia. „Chcę coś powiedzieć, zanim to zrobimy”.

Jej oczy rozszerzyły się z podniecenia pod jego lekką pieśczętą, ale jej wyraz twarzy był ostrożny. „Lód...”

Przerwał jej protest. "Proszę." Nie da się go powstrzymać. Nie tym razem.

Oblizwała usta, sprawiając, że natychmiast stał się twardy. Spędził ponad kilka godzin fantazjując o tym, że jego bujne usta owinęły się wokół jego kutasa.

"Co?"

Jego palce śledziły delikatną krzywiznę jej gardła, opierając się na szybkim uderzeniu jej tętna.

„Kiedy Parish poprosił mnie o powrót do Wildlands, sprzeciwiłem się” — przyznał, a pizmo jego pumy wyczuło powietrze. Zwierzę w nim nie rozumiało, dlaczego nie rzucił się

na tę samicę, by fizycznie udowodnić, że jest silniejszy i sprytniejszy niż jakikolwiek inny potencjalny partner. Nie chciał rozmawiać. Chciał lizać, gryźć i skosztować każdego soczystego centymetra Cammy, zanim przyszpilił ją pod siebie, żeby mógł ją wziąć z dzikim głodem. „Moi rodzice często podróżowali do niebezpiecznych miejsc na całym świecie i czułem, że moim obowiązkiem jest ich chronić”.

Znieruchomiała, jakby urzeczona jego miękkimi słowami. „Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?”

"Ty."

Jej oczy rozszerzyły się. "Ja?"

Jego usta drgnęły na jej rażące niedowierzenie. Wyraźnie wykonał lepszą robotę, niż myślał, ukrywając swoją obsesję na jej punkcie.

– Zaufaj mi, próbowałem z tym walczyć – powiedział cierpkim tonem. „Ale od pierwszego razu, gdy cię ujrzałem, byłem zafascynowany”.

Potrząsnęła głową, jej puls podskoczył pod jego palcami. – Cały czas się na mnie gapieś.

Skrzywił się, przypominając sobie małoszkowatą zazdrość, która dręczyła go od tak dawna.

- Bo dyszałaś z powodu Wściekłości - mruknął.

Na jej policzkach pojawił się rumieniec. „Nigdy nie dyszałem”.

– Tak – upierał się Ice, jego głos był warkotem. Sama myśl, że Cammy jest z innym mężczyzną wystarczyła, by wywołać w nim mordercze myśli. – Chciałaś z nim być.

Zatrzymała się, wyraźnie zastanawiając się, czy powiedzieć mu prawdę.

„Nie wiem, czy tego chciałam, czy też myślałam, że powinnam chcieć” – wyznała w końcu tak niskim tonem, że ledwo zrozumiał słowa.

Wygiął brwi. „Co myślałaś, że powinieneś chcieć?”

„Wściekłość była moim najlepszym przyjacielem, odkąd byliśmy małymi. Zawsze czuł się komfortowo”.

„I nie czujesz się ze mną komfortowo?”

Jej odpowiedź przyszła bez wahania. "Nie."

"Dobrze." Opuścił głowę, całując ją z gwałtownym przyływem radości. Nie chciał, żeby czuła się przy nim wygodnie. Chciał, żeby była podekscytowana, podniecona i bez tchu, kiedy wszedł do pokoju. Tak właśnie czuł się za każdym razem, gdy była blisko. „Nie jestem pewien, ile razy musiałem spuścić na smycz pragnienie, by uderzyć Rage'a w jego przystojną twarz”.

Przygryzła dolną wargę, jej oczy błyszczały, gdy jej kot odpowiedział na jego pocałunek. Jej puma nie była w konflikcie. Chciało go.

Ale już.

„On jest naprawdę bardzo dobrym facetem i oddanym Łowcą”, powiedziała, dreszcz przebiegł po jej ciele.

"Może." Wzruszył ramionami. „Ale był konkurentem dla twojej uwagi. Co oznaczało, że moja prymitywna strona widziała w nim tylko wroga – przyznał z brutalną szczerością.

"I teraz?"

Jego spojrzenie zatrzymało się na jej ustach. „Teraz nie zamierzam go bić.”

– Jestem pewien, że będzie zadowolony.

Jego dłonie obejmowały jej twarz, jego wzrok trzymał jej, gdy powietrze ogrzewało jego palący głód. – I nie zamierzam tracić więcej czasu na czekanie, aż mnie zauważysz – warknął z niewątpliwą determinacją.

Zaśmiała się bez tchu. – Zaufaj mi, zauważyłem.

Ukradł kolejny pocałunek, delektując się jej bujną atlasem. Jego kciuki śledziły linię jej szczęki, odchylając głowę do tyłu, gdy zanurzył język między jej wargami. Jęknął, czując słodki smak jej

kobiecego pożądania.

„Ciągłe zwracaj uwagę” mruknął, muskając ustami jedwabisty żar jej policzka.

Zadrżała, unosząc ręce i chwytając jego ramiona. "Lód."

"Nie." Przygryzł jej dolną wargę. – Nie musisz nic mówić. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że mój kot skończył czekać. Chce być na polowaniu.

Odsunęła się z niemożliwą do odczytania miną. „A jeśli nie jestem gotowy?”

„W takim razie lubię cię prześladować” – powiedział, a jego kot wcale nie sprzeciwiał się spędzaniu czasu na zabawie ze swoją ofiarą. Niewiele rzeczy lubił bardziej niż wyzwanie. Przyjrzał się jej bladej twarzy. – Powiedz mi tylko jedną rzecz.

"Co?"

"Boisz się mnie?"

Zamrugła, najwyraźniej zaskoczona jego pytaniem.

– Możesz być onieśmielający – powiedziała powoli. „I arogancki. I tajemniczy. Ale nie." Potrząsnęła zdecydowanie głową. – Nie przerażasz mnie.

Jego kot ryknął z satysfakcji.

Trwał pościg.

„To wszystko, co muszę wiedzieć”. Z ostatnim, długotrwałym pocałunkiem uwolnił ją z uścisku. "Jesteś gotowy?"

Jej usta rozchyliły się, wyraźnie decydując, że to nie czas na dokończenie ich rozmowy, wysiadła z dżipa. "Chodźmy."

Karen wróciła do świadomości z nagłym wstrząsem.

Otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że leży na twardej podłodze w swojej klatce. Ale nie była sama.

Próbując przemyśleć mgłę w mózgu, odchrząknęła. "Co się stało?"

– Zemdlałeś. Mężczyzna nagle przykucnął obok niej, jego włosy były potargane, jakby przeczesywał palcami krótkie kosmyki.

Nagle Karen przypomniała sobie dokładnie, co sprawiło, że spadła w ciemność.

– Och – wydyszała, drżąc jej ręka uniosła ją, by przycisnąć do jego szczupłej twarzy. "Oddział." Sprawdziła jego imię na swoim języku.

„Jesteś moim synem”.

Powoli skinął głową, jego napięcie wyczuło namacalną siłę w powietrzu. "TAK."

„Jesteś tak przystojny, jak marzyłem”. Wypuściła bolesny śmiech, próbując wchłonąć świadomość, że to naprawdę jej syn. Tysiące razy próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał, ale zawsze myślała o nim jako o dziewięcioletnim chłopcu ze obtartymi kolanami i głupkowskim uśmiechem. Nie dorosły mężczyzna. – Chociaż znacznie starsza – przyznała cierpko.

„Moja krew Pantery sprawia, że starzeję się w przyspieszonym tempie” – powiedział nieobecny tonem i zmarszczonymi brwiami. Najwyraźniej niepokoiły go jego wewnętrzne myśli. „Mój mistrz zapewnił mnie, że moje życie będzie o wiele dłuższe niż zwykłego człowieka”.

Skinęła głową. Tak samo było z Calebem, chociaż jego starzenie się zwolniło, odkąd przenieśli się do Wildlands. Założyła, że ma to coś wspólnego z magią bagien.

"Gospodarz?" Skrzywiła się. – Masz na myśli Christophera?

"TAK. Został moim przybranym ojcem po tym, jak mnie porzuciłeś – powiedział.

Karen w pośpiechu podniosła się na nogi, pulsowała w niej wściekłość. Nie wystarczyło, że szef Benson Enterprises porwał ją i użył jako kłaczy hodowlanej, zanim porwał jej dzieci? Teraz odkryła, że zrobił pranie mózgu jej własnemu synowi, aby

uwierzył, że jest bohaterem, a nie złoczyńcą.

– Ten drań – syknęła przez zaciśnięte zęby. Potem z trudem odzyskała panowanie nad sobą. "Co z twoim bratem?" zażądała. – Czy został adoptowany przez Christophera?

Ward potrząsnął głową. "Nie. Przeszukałem akta, ale nie znalazłem nic poza dowodem, że urodził się w Nowym Jorku.

Karen skrzywiła się, tłumiąc ostre rozczarowanie. „Dlaczego mieliby cię rozdzielić?”

"Nie wiem." Wzruszył ramionami. „Nie jestem pewien, czy on jeszcze żyje”.

"On żyje. Czuję go. Karen przycisnęła dłoń do serca z zaciekłym wyrazem twarzy. "Tutaj."

– Mam nadzieję, że masz rację, ale nie potrafię go znaleźć. Prostując się, Ward wygładził dłońmi drogi materiał swojej kurtki.

Karen próbowała sobie wmówić, że powinna być zadowolona, że jej syn najwyraźniej nie był źle traktowany. Właściwie wyglądało na to, że otrzymał kierownicze stanowisko w korporacji. Niestety, to nie powstrzymało jej przed chęcią wbicia kuli w czarne serce Christophera.

S5

"Czy to prawda?" – zażądał nagle.

Zmarszczyła brwi. – Że jesteś moim synem?

Niecierpliwie potrząsnął głową. „Że byłeś przetrzymywany wbrew swojej woli”.

Karen wpatrywała się w jego oskarżycielskie spojrzenie, wyczuwając, że w głębi duszy zawsze podejrzewał, że nie powiedziano mu całej prawdy.

– Mam dowód – zapewniła go, powoli podciągając rękawy swetra, by odsłonić grube blizny, które szpeciły jej nadgarstki. „Pochodzą z kajdanek, które trzymali na mnie, nawet po tym, jak skóra została tak potarta, że moje rany zostały zainfekowane”. Odsunęła włosy, wskazując na wypukłe ciało z

boku szyi. „To jest marka, którą mi nałożyli, aby lekarze wiedzieli, że jestem hodowcą”. Zadrżała, wciąż pamiętając palący ból. Następnie pociągnęła za dekolt, aby odsłonić brzydkie okrągłe miejsce na środku klatki piersiowej. – To ślad po papierosie, który strażnik przypalił mi w ciele, ponieważ nie podobało mu się, jak na niego patrzyłam.

Twarz Warda zmieniła się w cień popiołu, gdy podniósł rękę. – Dość – wychrypiał.

Karen dostrzegła przelotny błysk bólu w jego oczach i musiała zamrunąć, by powstrzymać nową porcję łez. Niepokoila go myśl, że została zraniona. Co oznaczało, że musiał się przejmować. Prawidłowy? Nawet jeśli wmawiano mu kłamstwo za kłamstwem, nadal uważał ją za swoją matkę.

„Nigdy bym cię nie opuścił”. Jej ręka ponownie uniosła się, kompulsywnie dotykając jego twarzy. Musiała się upewnić, że był prawdziwy. „Zostałeś wyrwany z moich ramion i spędziłem lata próbując cię znaleźć.”

Zmieszanie pociemniało jego oczy. „Dlaczego miałby mnie okłamywać?”

Ujęła go w policzek, radość przebiegła przez nią. Po tylu latach tęsknoty wreszcie dotknęła syna. To było... wspaniałe.

- Razem możemy znaleźć odpowiedź, Wardzie - zapewniła go, zerkając na drzwi celi, którą zostawił otwarte. Najwyraźniej martwił się, kiedy zemdląca i nie zadał sobie trudu, aby go zamknąć. „Ale najpierw musimy się stąd wydostać”.

Zrobił ostry krok do tyłu, ściskając brwi. „I gdzie iść? Wracając do zwierząt?”

Przełknęła pragnienie, by zwrócić uwagę, że „zwierzęta” zachowywały się o wiele bardziej humanitarnie niż ludzie. W tej chwili liczyło się tylko odciągnięcie go od laboratorium, żeby mogli rozmawiać bez obawy, że im coś przeszkodzi.

„Możemy iść, gdzie tylko zechcesz. Możemy zabrać Caleba z mojej kajuty i...”

- Ktoś nadchodzi. Ward przerwał jej zaciekle słowa, jego nos wykrzywił się, gdy wachał powietrze. Dowód, że jego zmysły były

o wiele bardziej wyostrzone niż jej. „Pantera”.

Ogarnęła ją ulga. Przyjdą po nią. Nie śmiała mieć nadziei, że uznają ją za wystarczająco ważną, by zaryzykować misję ratunkową.

Potem jej ulgę zastąpił dreszcz strachu, gdy jej syn sięgnął pod kurtkę, by wyciągnąć pistolet.

"Nie." Chwyciła go za ramiona z desperacją na twarzy. – Oni nie są twoim wrogiem, Ward. Przysięgam."

Lód poprowadził Cammy w dół wąskimi schodami do ukrytego labiryntu pomieszczeń połączonych długimi korytarzami wyłożonymi stalą nierdzewną. Była przekonana, że Karen jest blisko. Niestety nie można było się do niej dostać bez skorzystania z głównego korytarza.

Poruszając się w milczeniu, oboje byli w pełnej gotowości. Zwolniwszy, gdy dotarli do gałęzi w korytarzu, Ice czekał, aż Cammy wskaże w prawo.

– W ten sposób – szepnęła.

Idąc korytarzem, Ice sięgnął, by lekko dotknąć ramienia swojego towarzysza. – Zaczekaj tutaj – mruknął. "Zaraz wracam."

Zmieszala się zmarszczyła brwi. "Gdzie idziesz?"

„Aby się dobrze bawić”.

Nie dając jej czasu na protest, obrócił się na pięcie i wrócił po schodach na schody. Czuł zapach zbliżających się ludzi.

Przyciskając swoje wielkie ciało do ściany, stał jak drapieźnik w cieniu schodów. Nie zawracał sobie głowy wyciąganiem broni. Z bliskiej odległości mógł łatwiej zabijać rękami. I było znacznie ciszej.

Po spędzeniu prawie pół godziny na omijaniu otaczających kompleks ochrony klasy Pentagonu, ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było zaalarmowanie kogokolwiek o ich obecności.

Nieświadomi niebezpieczeństwa, dwaj mężczyźni weszli do korytarza. Lód pozwolił im przejść obok niego, zanim wyszedł z cienia i chwycił ich za karki. Z niskim pomrukiem podniósł je z podłogi, ignorując przestraszone przekleństwa. Obaj mężczyźni starali się uciec przed karzącym uściskiem jego palców, ale wykorzystując wąski korytarz na swoją korzyść, Ice rozłożył ręce i rozbił ich twarze o ściany. Ich przekleństwa zastąpiły jęki bólu, głuche łomotanie ich czaszek łączyło się z nierdzewną stałą odbijającą się echem w korytarzu. Ice poczuł, że zwiotczały, ale nadal uderzał nimi w ścianę, aż gryzący zapach krwi wypełnił powietrze.

Dopiero wtedy zaciągnął ich nieprzytomne ciała do szafy sprzątacza i zamknął drzwi. Zakładając, że strażnicy poszli stałą trasą, nie przegapiliby ich przez co najmniej dziesięć czy piętnaście minut.

W tym czasie on i Cammy powinni być w stanie złapać Karen i wydostać się stamtąd.

Rzucając ostatnie spojrzenie, aby upewnić się, że nie przeoczył żadnych kamer bezpieczeństwa, Ice pospieszył z powrotem do Cammy, która z wygiętym czołem przyglądała się krwi, która kapiała na jego buty.

"Szczęśliwy?"

Pozwolił, by jego usta wykrzywił zadowolony z siebie uśmiech. Nie było to w pełni satysfakcjonujące. Po tym, jak dranie bezpośrednio zaatakowały Wildlands, chciał ukarać ich wrogów. Ale przynajmniej miał okazję rozwalić kilka głów.

– Na razie będzie musiał wystarczyć – mruknął.

Przewróciła oczami, kierując się w głąb korytarza. – Karen jest na końcu w ostatnim pokoju. Zatrzymała się, gdy dotarli do drzwi, wciągając głęboki oddech powietrza. – W środku jest jeden strażnik.

Przez jego ciało przebiegło oczekiwanie. – Zajmę się nim.

Złapała go za ramię. „Hej, ja też powinienem się trochę zabawić”.

Błysnął złośliwym uśmiechem. „Obiecuję, że kiedy będziemy mieli trochę czasu sami, dam ci całą zabawę, z jaką możesz sobie poradzić”.

„Taa”. Spojrzała na niego, nawet gdy jej usta drgnęły na jego dokuczanie. – Wchodzimy razem – zapewniła.

"Cienki." Rozbawienie Icea zniknęło, gdy wyciągnął pistolet z kabury. Nie będzie jak podkraść się do tego strażnika. "Osłaniaj mnie."

Cammy ustawiła się u jego boku, celując bronią, gdy pchnął drzwi.

Ice miał ułamek sekundy, by przyjrzeć się wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie z krótkimi rudawymi włosami i oczami, które świeciły mocą, zanim Karen nagle rzuciła się przed niego.

Skrzywił się, nie mogąc oddać czystego strzału.

- Karen, rusz się - warknął, zastanawiając się, czy kobieta została odurzona.

– Nie, nie strzelaj – błagała.

Ice poczuł, że Cammy kładzie mu rękę na ramieniu. – Co się dzieje, Karen? zażądała.

– To jest Ward – powiedziała miękko. "Mój syn."

Ice przyglądał się szczupłej twarzy i zielonym oczom mężczyzny. Teraz, kiedy go szukał, łatwo było dostrzec rodzinne podobieństwo. – Ten, którego szukałeś? zażądał.

"TAK."

Ward chwycił matkę za ramiona i odciągnął ją na bok. Jego spojrzenie prześlizgnęło się pomiędzy Cammy i Ice. "Kim jesteś?"

Odebrała Cammy. „Przyjaciele twojej matki”.

Mężczyzna parsknął. „Pantera nigdy nie przyjaźniła się z ludźmi”.

Ice odchylił głowę do tyłu, wachając powietrze. Poczł nutę pizma w chwili, gdy wszedł do pokoju. – Jesteś takim samym zwierzęciem jak ja – szydził.

Młodszy mężczyzna zeszywniał. – Może i mam krew Pantery, ale nie jestem dzikusiem. Wszyscy wiemy, że jesteś zdeterminowany zabić hybrydy.

Brwi Ice zmarszczyły się na to oskarżenie. „Nie bądź głupi. Dlaczego mielibyśmy niszczyć naszych własnych ludzi?”

Karen odwróciła się do syna, jej dłoń delikatnie spoczywała na jego ramieniu. – On mówi ci prawdę, Ward. Pantera zaprosiła wszystkich ludzi do swojego stada. Łącznie z ludźmi”.

Odsunął się od jej dotyku, jego wyraz twarzy był nieufny, kiedy skupił się na Lodzie. Jak większość h

umans – lub Pantera wychowana w ludzkim świecie – bez wątpienia zakładał, że Ice jest bardziej zabójczy. Idiota najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że Cammy może rozerwać go na strzępy gołymi rękami.

„Jak mogę ci uwierzyć?” – zażądał Ward.

Ice zignorował pytanie. Nie był pozbawiony współczucia dla Karen, ale jego obowiązkiem było uratowanie jej i powrót do domu. Nie chodziło o przekonanie jej syna, że nie są złymi dzikusami. Mimo to się wahał.

Mężczyzna może mieć informacje. Poczynając od tego, czy Benson Enterprises deklarował otwartą wojnę Panterze, czy też był to zwykły wybieg, aby Ward mógł położyć ręce na matce.

„Dlaczego przybyłeś do Wildlands?” – zażądał nagle.

Mężczyzna zawahał się, zanim uniósł brodę. „Odkryłam, że była tam moja matka i mój przyrodni brat. Chciałem wiedzieć, dlaczego mnie zostawiła.

– Więc wysłałeś zamachowca-samobójcę, żeby nas zniszczył? on pstryknął.

Karen wydała z siebie dźwięk rozpaczy, a jej oczy pociemniały ze szczerej troski. "O mój Boże. Myślałem, że słyszę eksplozję. Został ktoś zraniony?"

Ice zacisnął szczęki na wspomnienie chaotycznego strachu, który rozprzestrzenił się w jego ojczyźnie. Wildlands zawsze oferował swoim ludziom poczucie spokoju, nawet gdy został zniszczony przez Shakpi. To było jedyne miejsce, w którym zawsze będą bezpieczne.

Zostało im to ukradzione przez ich wrogów.

- Były rany, ale żadnych ofiar śmiertelnych, dzięki Bogini - powiedział, nie odrywając wzroku od młodego mężczyzny. – Nie żeby nie zamierzali zabić jak największej liczby z nas.

Ward uniósł szczupłą rękę. – To nie byłem ja.

Ice zmrużył wzrok. – Nie miałeś z tym nic wspólnego?

Mężczyzna zawahał się, bez wątpienia próbując zdecydować, czy chce powiedzieć prawdę, czy nie. W końcu uniósł jedno ramię.

„Wiedziałem, że to było zaplanowane, więc skorzystałem z okazji, aby się wślizgnąć i przyprowadzić tutaj moją matkę” – przyznał.

Usta Ice rozchyliły się, pytając, dlaczego zostali zaatakowani, ale przerwał im ostry dźwięk alarmu rozrywającego powietrze.

Gówno. Strażnicy zostali pominięci.

Karen zbladła. "Co to jest?"

- Kłopoty - wymamrotał Ward, chowając broń, której prawdopodobnie nie zauważył Ice, zanim odwrócił się, by skierować się na tył pokoju. "Chodź za mną. Mogę cię zaprowadzić do tuneli ewakuacyjnych.

„Czekaj”, rozkazał Ice, gdy Karen podeszła do swojego syna. „To może być pułapka”.

Ward posłał mu niecierpliwe spojrzenie. – Zabrział alarm, co oznacza, że wiedzą, że tu jesteś. Placówka jest całkowicie zamknięta – ostrzegł. „Nigdy nie wyjdiesz, jeśli nie pójdziesz ze mną”.

Lód skrzywił się. Jego wyostrzony słuch wychwycił dźwięk

zatrząskujących się zamków. To nie sprawiło, że bardziej ufał Wardowi i jego nagłej chęci pomocy w ucieczce.

"Cienki." Wycelował pistolet bezpośrednio w głowę mężczyzny. „Ale pamiętaj o tym. Nie jestem twoją matką. Nie zawaham się strzelić ci w głowę, jeśli wyczuję, że narażasz nas na niebezpieczeństwo.

— Dzikus — mruknął mężczyzna, kładąc dłoń na małym skanerze umieszczonym na tylnej ścianie. Panel po cichu odsunął się na bok, odsłaniając wąski korytarz. "Tą drogą."

Pozwalając Wardowi objąć prowadzenie, Ice wskazał Karen, aby poszła jako następna, a następnie Cammy, podczas gdy on zajął tyły.

Cammy nie przegapiła przyszywającego wzroku Ice, kiedy mijala go, by wejść na korytarz. Zamierzał zachować czujność na wszelkie niebezpieczeństwa. Teraz jej obowiązkiem było przejąć inicjatywę w odkrywaniu tego, co Ward wiedział o planach Benson Enterprises dotyczących Pantery.

Lód zamknął za nimi panel, owijając ich ciemnością. Cammy instynktownie podeszła do Karen i objęła ją w pasie. Ludzka kobieta nie miała takiego samego widzenia w nocy jak Pantera. Jednak Ward poruszał się z łatwością, która dowodziła, że był takim samym kotem jak człowiekiem.

– Powiedziałeś, że nie byłeś zamieszany w zamachowca-samobójcę – powiedziała ściszym głosem, żeby nie rozbrzmiewał echem w długiej, pustej przestrzeni.

- Nie byłem - mruknął Ward, skupiając uwagę na ciemności przed nimi, gdy poruszał się do przodu w szybkim tempie. „Użyłem odwrócenia uwagi tylko, aby wejść do Wildlands”.

Wystarczająco łatwe do odebrania. „Więc jaki był cel bombowca?”

Ward zatrzymał się, jego ciało napięło się, gdy nagle odwrócił się, by poprowadzić ich do bocznego korytarza. „Próbował zniszczyć komputery, które ukradłeś”.

Cammy zmarszczyła brwi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy udało im się namierzyć kilka laboratoriów Benson Enterprise. Xavier zawsze nalegał, aby Łowcy przynieśli wszelkie informacje, które mogłyby pomóc dowiedzieć się więcej o wrogu, zanim Pantera spali budynki. Ale żaden ze skonfiskowanych komputerów nie wydawał się wart tak ekstremalnej reakcji.

"Czemu?" zażądała.

Mężczyzna nic nie powiedział, gdy pospieszyli korytarzem. W końcu Karen wyciągnęła rękę na ślepo, muskając dłonią plecy syna.

- Ward, musimy wiedzieć - mruknęła cichym głosem.

– Są prywatne badania, że nie chcieli wpaść w twoje ręce – wymamrotał w końcu, a słowa brzmiały tak, jakby były przepychane przez jego sztywne usta.

Najwyraźniej jego lojalność została podzielona między pracodawców a kobietę, która dała mu życie.

„Jakie badania?” - naciskała Cammy.

Potrząsnął głową i zgarbił ramiona. – Nie mogę.

Karen znów sięgnęła, by dotknąć pleców Warda. "Proszę. To ważne, żeby Pantera wiedziały, jak się chronić".

Zapadła długa cisza, zanim Ward w końcu westchnął głośno. „Cholera”. Jego kroki zwolniły, gdy spojrzał przez ramię. „Christopher tworzy wirusa”.

Cammy zamrugła zmieszana. „Wirus komputerowy?”

"Nie. Wirus biologiczny”.

Oszołomiona Cammy starała się nie potknąć o nogi. Była Łowczynią, nie Uzdrowicielką, ale wiedziała wystarczająco, by poczuć ciasny węzeł strachu osiadający w dole jej żołądka.

Najwyraźniej dzieląc jej troskę, Ice przesunął się, aż znalazł się u jej boku, wypełniając wąski korytarz kłującym ciepłem swojej mocy.

"Czemu?" Lód zawarczał.

Ward został zmuszony do zatrzymania się, gdy dotarł do stalowych drzwi, które blokowały korytarz. Wyciągnął rękę i przycisnął rękę do szklanego panelu w ścianie. „Christian zdał sobie sprawę, gdy Pantera odkrył jego powiązania z Benson Enterprises, że znalazł się w trudnej sytuacji” – powiedział głosem pozbawionym emocji. „Zażądał, aby jego naukowcy opracowali zabezpieczenie przed awarią na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się na południe”.

Cammy czuła napięcie, które ścisnęło ciało Ice.

„Co to jest zabezpieczenie przed awarią?” zażądała.

– Śmiertelna choroba, która została zmutowana, by zabić Panterę – mruknął Ward.

Droga Bogini. Mówił o specjalnie zaprojektowanej pandemii, która miała zniszczyć cały jej gatunek.

Jaki potwór mógłby nawet rozważać tak straszliwą zbrodnię?

Przetoczyła się przez nią choroba i Cammy instynktownie sięgnęła, by dotknąć ramienia Ice. Ostatnią rzeczą, której pragnęła, było ingerowanie w jego zdolność do walki, ale desperacko potrzebowała pocieszenia jego cieplej, silnej obecności.

„Czy on już stworzył wirusa?” Zgrzytnął lód.

– Nie wiem na pewno, ale pliki znajdowały się na komputerze skradzionym z laboratorium w Bossier City – wyjaśnił Ward. „Christopher jest zdesperowany, aby upewnić się, że Pantera nie ma dostępu do badań”.

Drzwi rozsunęły się i Ward poprowadził ich do czegoś, co wyglądało jak mały magazyn. Mężczyzna wszedł do ciasnej przestrzeni, czekając, aż pozostali wcisną się do środka, zanim odwrócił się, by zamknąć drzwi. W tym samym czasie powietrze rozdarł ogłuszający dźwięk wystrzałów.

Sycząc z bólu, Ward upadł na kolana, z ręką przyciśniętą do piersi. Karen krzyknęła, rzucając się do przodu, zanim Cammy

zdążyła ją powstrzymać.

Przykucnęła i owinęła ramię wokół ramion Warda, próbując przejrzeć ciemność. „Zostałeś trafiony?”

– Nic mi nie jest – syknął Ward przez zaciśnięte zęby. "Cofnąć się."

Cammy skoczyła do przodu w tym samym czasie co Ice, ale zanim dotarli do Karen, nastąpił kolejny ostrzał, który zmusił ich do rzucenia się na podłogę. Cammy podczołgała się do przodu, jej serce straciło bicie, gdy Karen upadła na bok, krwawe wyłobienie szpeciło jej prawą skroń.

Gównno.

Resztkami sił Ward sięgnął, by zatrzaskać drzwi, kładąc na chwilę kres latającym kulom. Potem z jękiem oparł się o ścianę, koszulę miał zakrwawioną.

„Za półkami jest tunel. Prowadzi pod płotem – powiedział głosem ochryplym z bólu. „Będę ich nie śledził tak długo, jak będę mógł”.

Lód podniósł się na nogi. "Wirus-"

„Naprawdę nie wiem nic więcej, niż ci powiedziałem,” przerwał Ward, jego twarz była spocona i nadal krwawił w alarmującym tempie. Spojrzał na leżącą obok niego nieprzytomną kobietę. „Zabierz moją matkę i chroń ją”. Wyciągnął pistolet spod kurtki z ponurą twarzą. Żaden z nich nie musiał być uzdrowicielem, by wiedzieć, że nie przeżyje wystarczająco długo, by zabrali go do lekarza. "Iść."

Posuwając się do przodu, Cammy chwyciła Karen w pasie i przerzuciła ją przez ramię, zanim się wyprostowała. Ice zawahał się, bez wątplenia pochłonięty potrzebą dowiedzenia się więcej o wirusie, który miał potencjał do ich zniszczenia. Ale dźwięk kroków za drzwiami sprawił, że zaczął się obracać z przekleństwem.

Z oszałamiającą szybkością odsunął półki na bok, odsłaniając tunel. Cammy nie zawahała się, gdy rzuciła się naprzód, wchodząc do ciemnego, zatęchłego korytarza z Karen wciąż przewieszoną przez ramię. Mogli tylko mieć nadzieję, że

Wardowi pomogą jego strażnicy.

W tej chwili nic nie miało znaczenia poza wydostaniem się z kompleksu, aby mogli ostrzec Raphaela o najnowszym niebezpieczeństwie dla ich ludu.

ROZDZIAŁ 5

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Lód mógł w końcu poddać się dzikim instynktom jego pumy.

Najpierw była to cicha jazda powrotna do Wildlands. Następnie, zostawiając Karen w zdolnych rękach Uzdrowicieli, odszukali Raphaela i Parisha, aby ujawnili to, co powiedział im Ward. Następnie Xavier, szef Geeków, zażądał możliwości zebrania ich w celu uzyskania informacji.

S6

Wszyscy byli pod wrażeniem tej ostatniej groźby i trudno było znaleźć okazję do spędzenia czasu sam na sam z Cammy. Teraz jednak nie chciał się dłużej odkładać.

Przybierając postać kota, Ice biegł przez Wildlands, a jego zwierzę ryczało z przyjemności, gdy pracował nad krawędzią swojej frustracji, zanim skierował się do małej chatki na skraju centrum komunalnego. Jego usta drgnęły, gdy wrócił do człowieka. Zaufaj Cammy, że będzie w środku akcji.

Jego własna chata została zbudowana pośrodku odległego bagna, z dala od najbliższego sąsiada.

Musieliby znaleźć jakiś sposób na kompromis.

Ostro pukając do drzwi, cicho mruknął, gdy Cammy otworzyła drzwi. Było już po północy, co pozwoliło mu docenić jej bujną urodę musniętą srebrem w świetle księżyca.

Jej gęste włosy opadały na ramiona, a jej niesamowite fioletowe oczy błyszczały świadomością jej kota. Jej kobiece kształty podkreślał satynowy szlafrok, który był owinięty wokół jej smukłej talii.

Wspaniały.

— Cześć, Cammy — mruknął, opierając się o framugę.

Wygięła brwi, powoli przyglądając się jego swobodnym dzinsom i bluzie.

– Jest późno – mruknęła.

– Nie tak późno. Wyciągnął rękę, by lekko dotknąć jej policzka. „Jak się miewa Karen?”

Cammy skrzywiła się. Opuściła spotkanie z Raphaelem mówiąc, że chce odwiedzić klinikę przed powrotem do domu.

„Fizycznie wyzdrowieje za kilka dni. Kula tylko drasnęła jej skroń – powiedziała. – Emocjonalnie jest wrakiem.

Ice powoli skinął głową. Nie mieli możliwości dowiedzenia się, czy Ward przeżył. Miał krew Pantery, ale wszystkie hybrydy były inne. I nie mieli możliwości dowiedzenia się, czy strażnicy próbowaliby mu pomóc, czy też strzelili mu w głowę.

"Zrozumiałe." Zdecydowanie odrzucając główniane kłopoty, które na nich czekały, przesunął palcami po linii jej szczęki. "Czy mogę wejść?"

Zawahała się, jej policzki zarumieniły się, gdy powietrze pachniało przyprawą jej podniecenia.

– Tak – przyznała w końcu.

"Dobrze."

Cammy cofnęła się, by dać mu miejsce, by mógł wejść, tylko po to, by sapnąć ze zdziwienia, gdy nagle podniósł ją z nóg. Zatrzasnął drzwi stopą i przytulił ją do piersi, kierując się na tyły małego, przytulnego domu.

– Lód – powiedziała bez przekonania.

Spojrzał w dół, jego wewnętrzny kot już przewidywał jej słodki smak. Jedynym pytaniem było, czy lizać ją od stóp do głów... czy zacząć od dołu i iść w górę.

- Powiedziałeś, że mogę wejść - przypomniał jej, jego głos był cichym warczeniem.

Spojrzała na niego, mimo że jej oczy płonęły zmysłowym oczekiwaniem. – Nie powiedziałem, że możesz mnie

poturbować.

„Czekałem, żeby cię poturbować przez bardzo długi czas”.

Przeszedł przez otwarte drzwi, wchodząc do sypialni wypełnionej łóżkiem z baldachimem z ładną kołdrą i ręcznie rzeźbionym bujakiem w kącie.

Trzymając jej gorące spojrzenie, Ice położył ją na szerokim materacu. Całe jej ciało drżało, jakby cicho zachęcając go do skoku. Podbić. Wziąć to, co pragnął posiadać, odkąd ją zobaczył. Ale brutalnie walczył z prymitywnymi instynktami swojego zwierzęcia.

Stark, dysząca żądza miała swoje miejsce, ale nie teraz.

Nie z Cammy.

Nie była tylko seksowną kobietą, która pobudzała jego zmysły. Była fascynującym, doprowadzającym do szału stworzeniem, które teraz stanowiło istotną część jego egzystencji.

Kładąc kolano na krawędzi łóżka, Ice pochylił się, by musnąć jej usta ustami. To był tylko szept dotyku, ale wystarczyło, by posłać wstrząs palącego ciepła przez jego ciało.

Jej włosy rozsypały się na kołdrze, jej usta wykrzywił grzeszny uśmiech. – Ward miał rację w jednym – mruknęła.

Sięgając w dół, Ice chwycił dół swojej bluzy, aby ściągnąć ją przez głowę.

"Co to jest?" – zażądał, rzucając koszulę na podłogę.

„Jesteś dzikusiem”.

Zachichotał, prostując się, żeby móc zdjąć buty, a potem zsunąć dzinsy z nóg. Odpychając je na bok, wczuł się na łóżko, zatapiając się w miękkim materacu.

„Och, zamierzam być o wiele bardziej dziki, zanim ta noc się skończy”, zapewnił ją, rozciągając się obok jej drżącego ciała.

Sięgnęła w górę, delikatnie przesuwając palcami po tatuażu

śpiącej pумы, który był wytatuowany na jego klatce piersiowej.

„Czy to ostrzeżenie czy obietnica?”

Z jękiem złożył pocałunki na jej policzkach, kołczan wstrząsnął jego ciałem. Czy dokładnie wiedziała, dokąd prowadzi ta noc?

On zrobił.

Zanim wyszedł z łóżka, w pełni zamierzał ją odebrać.

Rodzaj twierdzenia „razem na wieki”.

Przeszło go oczekiwanie. Z każdym pocałunkiem coraz trudniej było spuścić na smycz potrzebę zanurzenia się głęboko w słodkim cieple jej ciała.

– Oba – mruknął, przesuając usta wzdłuż upartej linii jej szczęki. Smakowała tak wybornie, jak przewidywał. Dekadencki. Upojny. Słodki grzech.

Droga Bogini, nigdy nie miałby jej dość.

Wydała mały westchnienie przyjemności. „Czy nie powinniśmy najpierw porozmawiać?”

Przesunął językiem po krzywiznie jej ucha i wrócił, by pochwycić jej usta w pocałunku czystego opętania.

"Rozmawiać o czym?"

Pod nim Cammy poruszyła się, chwytając go za ramiona. "Nas."

„O czym tu mówić?” – zażądał, gładząc palcami jej gardło. "Należysz do mnie."

Jej palce zacisnęły się na jego klatce piersiowej. Ślad pazurów wbijających się w jego ciało sprawił, że Ice zadrżał z przyjemności. Wewnątrz jego kot mruczał z niecierpliwością.

Podczas seksu zwierzę lubiło pazury i kły.

„Twój arogancki tyłek znów się pokazuje”.

Z chichotem przyglądał się gorączkowemu kolorowi, który

zabarwił jej policzki. „Chcesz tego dotknąć?” – spytał, spuszczać wzrok na miękkość jej ust. – Obiecuję pogłaskać twoje, jeśli chcesz.

Zaśmiała się nagle, jej psotny kot błysnął w jej oczach.

„Jak myślałem, że nie wiesz, jak cieszyć się życiem?” wyszeptała.

Jego kutas drgnął. Zawsze była piękna. Ale kiedy się uśmiechnęła, stała się nieodparta.

Pochylając głowę niżej, zanurzył język w wilgotnym cieple jej ust. Między nimi zaiskrzyło surowe pożądanie, a ciepło prawie zapaliło się, gdy sięgnął w dół, by pociągnąć za pasek, który trzymał jej szatę razem.

Oddech uwiązał mu w gardle, gdy jej język zaplątał się w jego. Ta kobieta zawsze potrafiła sprawić, że zapomniał o wszystkim. Jego obowiązek. Jego rodzina. Do diabła, miał szczęście, jeśli pamiętał, jaki to był dzień.

Jedynę, o czym mógł myśleć, to uważać ją za swoją.

Podnosząc głowę, przyglądał się jej groźnym spojrzeniem. „Nie cieszyłem się w pełni życiem”.

Jej uśmiech zniknął, jej palce przesunęły się po jego klatce piersiowej w nieświadomie kojącym ruchu. "Co masz na myśli?"

Wytrzymał jej spojrzenie, delikatnie rozdzielając szatę, by odsłonić piękno kości słoniowej jej miękkich kształtów.

„Wcześniej zapytałaś mnie, czy jestem samotna, a ja powiedziałem, że nie” – mruknął, pochylając się, by musnąć ustami górną krzywiznę jej piersi. „To nie była do końca prawda, ale koncentrując się na swoim obowiązku mogłem udawać, że mam cel”.

Wydała zdławiony jęk, jej palce wplątały się w jego włosy. "I teraz?"

Powoli badał jej obfite ciało, delektując się odurzającym zapachem jej podniecenia perfumującego powietrze.

„Teraz zdałem sobie sprawę, że to znacznie więcej niż

obowiązek”.

"Hmm." Wygięła plecy w łuk, gdy smagał językiem czubek jej stwardniałego sutka. „Bardzo oświecony”.

Dzikice pożądanie pulsowało w nim, jego kot ocierał się o jego skórę z potrzebą rozkoszowania się ciepłem jej pożądania. Ssał jej sutek, zanim użył krawędzi zębów, by ją zadowolić.

„Czy chcesz, żebym ci powiedział?”

o rzeczach, które odkryłem, które lubię?” – spytał, jego usta przyciskały ślad pocałunków do jej drugiej piersi.

Jęknęła cicho, niespokojnie mieszając się z kołdrą. – Myślę, że już wiedziałam, że ci się to podobało – wykrztusiła.

Ice chwycił jej biodra, trzymając ją nieruchomo, gdy pocałował spód jej piersi, zanim skierował się w dół. Zamierzał zrobić z niej bankiet, degustując i gryząc, aż zacznie krzyczeć z siłą swojego orgazmu.

– Nie wiedziałem, że mój dzień może rozjaśnić widok konkretnej kobiety – mruknął, drapiąc czubki swoich wydłużonych kłów po delikatnym cieple jej brzucha. – Albo że jej uśmiech może sprawić, że moje serce straci bicie. Wsunął ręce pod jej nogi, rozsuwając je, by móc ułożyć się między nimi. „Albo jej zapach doprowadza kota do szału potrzeby”.

Zadrżała, przechylając głowę, by patrzeć na niego świecącymi oczami. „Nie tylko ty jesteś szalony”.

Z chichotem odwrócił głowę, by wtulić się w miękką skórę jej wewnętrznej strony uda. "Dobrze. Ale to coś więcej.

„Czy tak?” odetchnęła, wyraźnie starając się skoncentrować, gdy jego usta przesunęły się w kierunku słodkiego centrum jej przyjemności.

"Tak." Wciągnął głęboki oddech jej odurzającego piżma. Głód przeszywał jego ciało, nawet gdy zaciekle zaspokajał swoją potrzebę. „Nagle chcę podzielić się obiadem ze sforą tylko po to, żeby popatrzeć na ciebie z przyjaciółmi. I zaczynam planować dom, który zamierzam dzielić”.

"Dzielić?" Jej palce zacisnęły się na jego włosach, gdy jego język

przebił się przez jej wilgotny upał.

„Z bujnym ogrodem, w którym nasze młode mogą się bawić” – kontynuował.

Jej oczy rozszerzyły się, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, chwycił ją za biodra, przechylając ją pod idealnym kątem. Potem usiadł na materacu i chleptał jej krem.

– Lód – wydyszała, wyginając się pod jego nieustępliwym atakiem.

Ice delectował się jej słodyczą, zanurzając język w jej słodkim małym kanale. „Powiedz mi, że jesteś moja”.

Wydała zduszony dźwięk przyjemności, gdy pogładził z powrotem na szczyt jej lechtaczki. Sięgając w dół, wplątała palce w jego włosy. "Możemy porozmawiać później."

Zachichotał, znajdując jej malutką wiązkę przyjemności do ssania między jego ustami. Kiedy jej biodra oderwały się od materaca, uniósł głowę, by napotkać jej tłące się spojrzenie. „Powiedz słowa”.

Jęknęła, szorstko szarpiąc jego włosy. "Później."

Mógł wyczuć jej zbliżający się szczyt, jego kutas drgał w reakcji. – Teraz – warknął.

– Jestem twoja – wydyszała.

Nadal smakował jej soczysty krem. "Ponownie."

Jej uścisk na jego włosach zelżał, jej palce delikatnie dotykały jego twarzy, jakby wyczuwając wagę tej chwili.

– Jestem twoja, Ice – mruknęła z dosadną prostotą, która uspokoiła jego wewnętrzne wątpliwości.

„A wściekłość?” Nie można było powstrzymać pytania.

Skrzywiła się. „Powiedziałem sobie, że łatwiej jest znaleźć mężczyznę, który byłby bardziej przyjacielem niż alfą. Myślałem, że mój kot był zbyt dominujący, aby zaakceptować partnera, który rzucił mi wyzwanie”. Śledziła krzywiznę jego ust, jej twarz

złagodniała emocją, której nigdy nie odważył się być świadkiem. „Ale dzięki Bogini, myliłem się. To czego potrzebuję to ty. Tylko ty, Ice.

"TAK."

Radość przebiegła przez niego, gdy pochylił głowę, zamierzając posmakować jej orgazmu na języku. Cammy jednak podskoczyła, by złapać go za ramiona.

„Czekaj, lód”.

Zamarł, jego kot w natychmiastowym pogotowiu. Czy zrobił coś złego? Czy zmieniła zdanie? "Co?"

Jej oczy płonęły głodem, który pasował do jego własnego. „Chcę cię we mnie, kiedy przyjdę”.

Warczenie zadudniło głęboko w jego klatce piersiowej, mimo że przeszła go dotkliwa ulga.

"TAK." Z ostatnim, ociągającym się ociąganiem języka, Raphael poderwał się do góry, chwytając jej usta w pocałunku silnego opętania.

Przez lata marzył o tym, że ma tę kobietę w swoich ramionach. W jego łóżku.

Teraz był tak zdesperowany, by się z nią kochać, że nie był pewien, czy uda mu się smyczy kota. Drżał z potrzeby przebicia jej swoim obolałym kutasem, doprowadzając ich oboje do szybkiego, wybuchowego orgazmu, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że to był ich pierwszy raz razem.

Czy kobiety nie lubiły tego miękkiego i romantycznego?

– Powiedz mi, czy jestem zbyt szorstki – mruknął, siadając na niej.

„Jestem Łowcą, kochanie”. Wbiła pazury w jego ramiona, instynktownie owijając nogi wokół jego talii w cichej ofierze. „Nie możesz mi dać nic, czego nie mógłbym wziąć”.

Z gardła Ice wyrwał się szorstki jęk na jej ochryple wyzwanie. – No to trzymaj się, kotku.

Trzymając jej śmiałe spojrzenie, wyrwał jej wejście główką swojego penisa, wahając się, czy rozkoszować się dotykiem jej wilgotnego ciała owiniętego wokół jego korony.

Jego oddech syczał między zębami. Nic nigdy nie było tak dobre.

Pod nim Cammy wierciła się, pizmo jej pumy wyczuwało zapach powietrza. – Koniec z graniem – mruknęła. „Potrzebuję cię we mnie”.

– Jesteś mój – mruknął. "Mój kumpel." Wcisnął w nią cał swojej szerokiej erekcji. "Mój partner." Kolejny cał wsunął się w jej śliski upał. "Moja miłość."

– Na zawsze – dodała, zatapiając zęby w miejscu, gdzie jego szyja stykała się z jego ramieniem.

Ból rozkoszy wstrząsnął nim i jednym gwałtownym pchnięciem zakopał swojego kutasa głęboko w niej. Jękali razem z czystej przyjemności. Tego właśnie chciał. Dlaczego wybrał swoją wojowniczkę.

Były to kojarzenie dwóch Panter na ich najbardziej prymitywnym poziomie, bicie ich serc i nacisk kotów tuż pod skórą.

Pochylając głowę w dół, zakrył jej usta palącym pocałunkiem, rozkosz szokująco intensywna.

„Jak przeżyłem bez ciebie?” wymamrotał, gdy zaczął się poruszać. Jęknęła z uznaniem, unosząc biodra z materaca w cichym zaproszeniu. "Dopełniasz mnie."

– Lód – wydyszała. "Mój kumpel."

Wciskając twarz w krzywiznę jej szyi, wciskał się i wycofywał z jej ciepła, utrzymując bezwzględne tempo. Jakaś jego część chciała, żeby to było ostatnie, ale jego kot nie dał się odmówić. Na pewnym poziomie szukał tej kobiety przez całe swoje życie. Teraz nadszedł czas, by ją odebrać.

Uwalniając pazury, pozwolił im przebić skórę wzdłuż jej dolnej części pleców. Płytkie rany miały się zagoić, pozostawiając cztery

srebrzyste blizny, które były pogańskim znakiem własności.

Uderzająca błogość przepłynęła przez niego, zintensyfikowana przez dotyk jej cipki zaciśniętej ciasno wokół jego kutasa. Nigdy nie miałby jej dość. Nigdy. Kiedykolwiek.

Słyszac łamiący się dźwięk jej oddechu, zintensyfikował siłę swoich pchnięć, łóżko uderzało o ścianę, gdy poruszali się razem w dzikim rytmie.

Jednak dopiero, gdy poczuł jej orgazm ściskający jego kutasa, zaczął szukać własnego uwolnienia. Dając ostatni przyływ, pograżył się, aż jego jądra znalazły się na jej tyłku i pozwolił, by jego szczytowanie roztrzaskało go na milion kawałków nasyconej radości.

Nic nie przygotowało go na erotyczną zaciekłość kochania się ze swoją partnerką. Wydawało się, że świat właśnie przechylił się wokół własnej osi, pozostawiając ich w nowym, cudownym miejscu.

Podnosząc głowę, przyglądał się oszołomionej twarzy swojej kobiety. Najwyraźniej nie był jedynym, który wzdrygał się z powodu intensywności ich łączenia.

Jednak to Cammy w końcu przerwała gęstą ciszę.

„Więc opowiedz mi o tym domu, który zamierzasz zbudować dla mnie i moich młodych”.

Reaux

Laura

Wright

ROZDZIAŁ 1

„Czy czujesz się komfortowo?”

Karen patrzyła prosto przed siebie, siedząc na krawędzi kanapy w gabinecie Uzdrowiciela. Czy było jej wygodnie? Co za dziwny, niemożliwy pomysł. Od bardzo dawna nie знаła pociechy. Może

od nocy, zanim została zabrana. Może, kiedy dwanaście lat temu siedziała przy rodzinnym stole obiadowym, mając... co to było znowu? Spaghetti? Nie. Jej mama nie zrobiła dobrego czerwonego sosu. Tacos? Nie.

Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. Kurczak i pierogi. Jej matka zrobiła absolutnie najlepsze.

Przyływ bólu odbił się echem

ją. Tęskniła za tą cudowną kobietą... jeszcze bardziej teraz, kiedy odeszła. Nigdy nie zobaczy swoich wnuków. Kaleb. Albo oddział. Albo...

— Porozmawiajmy o twoim potomstwie — powiedziała Uzdrowicielka, ponownie próbując wciągnąć Karen z powrotem do jej wszechświata.

— Dzieci — poprawiła go Karen.

"Oczywiście."

"Mam trzy."

"Tak, wiem."

Caleb, Ward... i ten, którego znała zaledwie kilka sekund... zanim został wyrwany z jej ramion, zanim wstrzyknęli jej narkotyki, żeby zmusić ją do snu. I zapomnieć. Jakby to była w ogóle możliwość. Żadna ilość narkotyków nie mogła ukraść pamięci o narodzinach ani płaczącej twarzy niemowlęcia. Nazwała go Tate. Po dziadku. Kto wie, jak się teraz nazywał. Jeśli został nazwany cokolwiek. Jeśli w ogóle żył.

Jej pierś ścisnęła się do bólu, ale nie wzdrygnęła się. To był ból, który był teraz znajomy. Taki, z którym nauczyła się żyć. Taki, który dziwnie poczuł się dobrze.

Prawidłowy.

— Myślę, że powinniśmy o nich porozmawiać, Karen — powiedziała kobieta łagodnym głosem. "Każdy. Zacznijmy od Caleba.

Ta słodka twarz trzylatka pojawiła się w jej umyśle. Jej mały Caleb, który dzięki swojej krwi Pantery nie był już

dzieckiem. Uzdrowiciele martwili się o Caleba. Właściwie to, o co się martwili, to zdolność Karen do opieki nad nim. Po tym, jak kilka dni temu sprowadzono ją z powrotem do Wildlands... po tym, jak została uprowadzona przez Warda, przez jej syna, któremu powiedziano, że go nie chciała – prawie się rozpadła. Cicho, delikatnie, bezwarunkowo, osobno. Jean-Baptiste i jeden z Uzdrowicieli, z którymi pracowała, znaleźli ją w salonie jej małego domku, trzymając Caleba i nie pozwalając mu odejść.

Trzymała go bez przerwy przez siedem godzin.

— Caleb — naciskała kobieta. „Powiedz mi, jak zareagował na bycie tutaj. W Wildlands.

Karen oczywiście zgodziła się rozpocząć terapię. Powiedziano jej, że ta uzdrowicielka, Mackenzie, jest jedną z najlepszych. Ostry, wnikliwy, sondujący.

Kliniczny.

S7

„Zgodzisz się, że po urodzeniu się w niewoli, dorastaniu w niewoli, Caleb potrzebuje jak najwięcej normalności?” - pytał Uzdrowiciel.

Mimo dziwnego siedmiogodzinnego uścisku matki Caleb był świetny. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek go widziała. Życie w Wildlands było dla niego najlepszą rzeczą. Powietrze, magia. Jego strona Pantery wypełniała się każdego dnia. Uwielbiał przebywać ze starszymi samcami, uczyć się, kim jest...

Caleb był świetny.

Ból przeszył jej kości i przygryzła wargę. A co z Wardem? Czy nikogo nie obchodził Warda? Gdzie on był? Czy on jeszcze żył? Czy on cierpiał?

A Tate?

Podczas wydechu ukryła głowę w dłoniach.

„Czy rana cię boli?” – zapytała Mackenzie, odnosząc się do kuli, która drasnęła jej skroń, kiedy ona, Ice i Cammy uciekły z kolejnego przerażającego laboratorium Benson Enterprises.

– Nie – szepnęła Karen w jej dłonie. Rana, która ją bolała, była głęboka i daleko sięgająca. To była rana, która nigdy się nie zagoi, dopóki nie dowie się, że jej dzieci są bezpieczne.

„Powiedz mi, co powiedział ci Ward, kiedy przetrzymywał cię w niewoli”.

Nie chciałeś mnie.

"Czy on cię zranił?" nacisnęła kobieta.

Nie. Zraniłem.

I w końcu Ward jej pomógł. Poświęcił się dla niej. Jej dziecko, jej młode, jak nazywała je Pantera, który był teraz dorosłym mężczyzną. Mimo że chronologicznie miał dziewięć lat, prawie wyglądał i zachowywał się tak staro jak ona.

Zza biurka dobiegło westchnienie. Biedny, zirytowany uzdrowiciel.

– Karen, może byłoby dobrym pomysłem, gdyby podczas leczenia Caleb został umieszczony u jednej z naszych rodzin.

Zaskoczona Karen podniosła wzrok. "Co?"

Oczy kobiety błysnęły. Przyciągnęła uwagę Karen. Wreszcie. Ruch szachowy sprawił, że Karen nie tylko nie lubiła kobiety, ale także jej nie ufała.

„Tylko na krótki czas. Mamy kilka wspaniałych rodzin. Może nawet z naszym przywódcą Raphaelem i jego partnerką. Mają młode. Jestem pewien, że ucieszyłby się...”

- Nie zabierzesz mojego dziecka. Ton, który wydobył się z Karen, nie był normalny dla kogoś z zerową krwią Pantery. To było śmiertelne.

– Proszę, nie złość się – powiedziała Mackenzie irytująco łagodnym głosem. „Pomyśl o Kalebie. Jego potrzeby...”

Ciepło napłynęło z szyi Karen do jej głowy, wywołując zawroty głowy. Jej dłonie zacisnęły się w pięści i wiedziała, że jeśli się stamtąd nie wydostanie, zrobi coś głupiego. Coś, co mogłoby pogorszyć sytuację jej i Caleba.

– Nie czuję się zbyt dobrze – mruknęła, wstając. Jej nogi były niepewne, jakby były wypełnione wodą. „Zrobimy to innym razem. Muszę iść do domu i się położyć.

"Czy mogę ci pomóc?"

"Nie."

Mackenzie zawołał za nią, ale Karen nic nie usłyszała, gdy wyszła z pokoju i zamknęła drzwi. Nigdy więcej nie chciała zobaczyć tej kobiety. Ona sama pójdzie do Raphaela. Po tym wszystkim, przez co przeszła ona i inne szczury... Zabierając to, co dla nich najważniejsze...

Jej dziecko...

Czy można je winić? Rozpadasz się. Tak się czuło. Coś uwolniło się w tej celi, w której umieścił ją Ward. Coś panicznego i dzikiego. Może powinna wziąć Caleba i odejść. Ale gdzie? I czy Pantera pozwoli jej zabrać jednego z Wildlands? Zwłaszcza teraz, kiedy oddzwaniali wszyscy ze swojego gatunku?

Pomysł zabrania Caleba... Jak Ward i Tate. Nagle nie mogła oddychać. Złapała za oparcie krzesła w pustej poczekalni. Ciemna poczekalnia. A może to była jej wizja?

Brak światła.

Brak powietrza.

Krzycząc, odepchnęła się od krzesła i potknęła się do przodu. Świat się kołysał, jakby była na morzu. Do jej czaszki napłynęło ciepło. Chwyciła pierwszą rzecz, jaką mogła znaleźć. Klamka. Odwróciła się i pchnęła. Gdzie było chłodne powietrze? Chciała wyjść. Ale wszystko, co ją spotkało, było ciepłe, twarde, solidne. Jej nogi ugięły się.

"Hej. Hej." W jej świadomość wszedł męski głos. Niska barwa. Zainteresowany.

A potem była podnoszona, niesiona lub pomagana. Złagodzony. Kiedy jej plecy poczuły stabilne podparcie ściany, opadła na nią i wypuściła oddech.

– Czy jesteś pacjentem Mackenziego? – zapytał mężczyzna.

Nie. Nigdy więcej Mackenzie.

Musiała potrząsnąć głową, ponieważ zapytał: „Dante? Suja?”

Jego głos był jak narkotyk. Takie, które natychmiast kołły, sprawiały, że chciało się do niego przyłgnąć, zwinąć w kłębek.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją. „Możesz na mnie spojrzeć? Mów do mnie?”

Poczuła, że jej podbródek się unosi, i otworzyła oczy. Mrugając kilka razy, świat wrócił do ostrości. Pokój, biuro, ale nie takie jak u Mackenziego. To było jak... natura w środku.

"Jak masz na imię?"

Odwróciła się do mężczyzny. Nie... do mężczyzny, który przykucnął przed nią. Podobnie jak kot Pantera, bez wątpienia ukrył się w nim. Jego czarne włosy były ściśle ogolone do czaszki, a jego twarz była surowo, brutalnie przystojna, wszystkie ostre kąty z ciężkimi ustami. Ale jego szare oczy były najmiłsze, najszczęśliwsze, jakie kiedykolwiek widziała.

Sięgnął po nią, dotykając dłonią jej policzka. – Oddychaj, kobieto – powiedział, głaszcząc jej skórę. "W I poza."

Zahipnotyzowana spojrzała na niego. Znała wielu Uzdrowicieli. Ale ta... ta wspaniała, delikatna, ale bez wątpienia śmiertelna istota była dla niej obca.

„Nazywam się Reaux. Chcesz mi powiedzieć, kim jesteś?”

Jego głos... cokolwiek zawierał, był balsamem na jej rany. Otulił ją kokonem. Sprawił, że poczuła się bezpieczna. Zrozumiany. Pod opieką. To sprawiło, że poczuła, że w końcu może zaufać...

Łzy popłynęły jej z oczu i zaczęła płakać. Głębokie, ciężkie szloch, które nie nadchodziły przez dni, tygodnie, lata. Nie były to rodzaje, które wywodzą się ze strachu lub agonii – te wyschły dawno temu – ale takie, które pochodziły z intensywnego uwolnienia.

Nie mogła przestać.

Nie chciała.

A kiedy magiczne stworzenie zwane Reaux wzięło ją w ramiona i przytuliło, pozwoliła, by spadła ulewa.

Był idiotą.

Lekkomyślny mężczyzna.

Trzymając tę kobietę. Głaszcząc jej policzek.

Ale nie mógł jej puścić. Ciągłe łyzy, jej serce krwawiące przed nim, jej palce ciasno owinięte wokół rękawów jego koszuli? Tego właśnie pragnął od pierwszej chwili, gdy został potwierdzony jako Uzdrowiciel. Aby usunąć ból, zdefiniować ból.

Uzdrowić serce i umysł.

Kiedy jej uścisk na nim zacieśnił się, jego warga się wykrzywiła. Błędy takie jak on – klątwy krwi – nie mogli zobaczyć swoich marzeń ani spełnienia swoich pragnień. Byli zadowoleni z tego, co dostali. A mówiąc o pożądaniu, pomyślał ponuro, musiał oderwać tę kobietę od swojego ciała i wysłać ją w drogę, zanim mokre oczy zamienią się w mokry seks. Mogła być człowiekiem, bez wątplenia jednym ze szczurów, które zostały uratowane i przywiezione do Wildlands, ale nadal bardzo by na nią wpływał.

To była ostatnia rzecz, jakiej chciał – żeby jego koledzy myśleli, że dopuścił do siebie samotną pacjentkę.

Poluzował jej plecy, mając nadzieję, że nie jest już za późno. Był niesamowicie lekkomyślny. Miał nadzieję, że kiedy spojrzy jej w oczy, nie zobaczy tej zwyczajowej plamy podniecenia. Ale raz miał szczęście. Wpatrywały się w niego piękne jasnobrązowe, prawie bursztynowe kule. Z pewnością ciężkie łyzy, ale jasne. Odetchnął z ulgą.

– Przepraszam – powiedziała, wycierając oczy.

Bogini, nie przepraszaj kobieto. Nie dla twoich łez, ani dla

przyłgnięcia do mnie, jakby od tego zależało twój oddech. Nie masz pojęcia, jak to jest. Ile czasu minęło, odkąd kobieta dotykała mnie dla czegokolwiek innego niż dla własnej przyjemności seksualnej.

- Nie musisz przeproszać - powiedział w końcu, jego wzrok przesunął się po jej bladej, wytwornej twarzy i grubych miedzianych włosach, które ją okalały. „Nie z powodu zboląłego serca, lecz ani tego, że choć przez chwilę potrzebowałeś cudzej siły”.

Nawet gdy wypowiadał te słowa, jego umysł kazał mu się od niej wyplątać, wyjść z biura i g

znaleźć jednego z innych emocjonalnych uzdrowicieli do przejęcia. To była tylko kwestia czasu. Bez wątpienia jego ciało już uwolniło zapach. Jego jad, jak to teraz nazwał. A ta samica nie byłaby w stanie sobie pomóc. Zamiast lgnąć do niego, drapie go pazurami. Zamiast leż byłyby krzyki do dotknięcia i żądania uwolnienia. Jej usta przywoływałyby jego, a jej dłonie odnajdywały jego zamek.

Powoli, delikatnie odsunął się i wstał. Wydała dźwięk, jakby rozłaka z nim sprawiała jej ból, a on zaklął w duchu. To już się działo. Normalnie nie denerwował się, gdy robiły to kobiety. Szlachetność rozpaczliwego pożądania zniknęła. Bo to nie miało nic wspólnego z nim, jako mężczyzną. Ale ta kobieta... było w niej coś, co go interesowało, przyciągało.

Głupi mężczyzna.

Kiedy pomógł jej wstać, nie chciał na nią spojrzeć. W tych oczach, w tych ustach. Nawet teraz swędziały go palce, by dotknąć jej włosów. Tylko jedno powolne przeciągnięcie na jej skórę głowy.

"Jak masz na imię?" rozkazał.

– Karen.

Otworzył drzwi do swojego biura i stanął przed nimi. – Musisz iść, Karen. Z powrotem tam, skąd przybyłeś.

Bez wątpienia jego ostry ton ją zszokował. W końcu był miły i delikatny zaledwie kilka sekund wcześniej. Ale w ogóle się przed nim nie wzdrygnęła.

– Byłam z Mackenzie – zaczęła. – Ale...

– Powinnaś do niej wrócić. Jest doskonałą terapeutką”.

Potrząsnęła głową. "Nie dla mnie. Ona nie ma racji. W ogóle nie mogłem się przed nią otworzyć. Nie sprawia, że czuję się... — Przygryzła dolną wargę.

Prawidłowy. Spóźnił się. Jego jad już dostał się do jej krwiobiegu. "Nie. Jestem pewien, że nie.

„Jesteś Uzdrowicielem, prawda?”

„Leczę tylko pary”.

Nie ruszyła się ze swojego miejsca przy drzwiach. „Wiem, że to zabrzmiało szalenie. Ale jestem pewien, że miałeś tu dużo szaleństwa, prawda?”

– Karen, potrzebujesz...

– Myślę, że to ty, Reaux.

Nie można było się zatrzymać. Jego spojrzenie przesunęło się na jej i zapytał: „Co ja?”

Jej wyraz twarzy był pełen głodu i pasji. "Jeden. Osoba, która może mi pomóc.”

Reaux pokręcił głową. – Przepraszam, Karen, nie mogę... –

Rozumiem, że specjalizujesz się w parach, ale może możesz zrobić wyjątek? Tylko ten jeden raz."

"Nie."

– Nie rozumiesz.

– Zaufaj mi, tak. Pozwól, że zabiorę cię z powrotem do Mackenzie. Może nie jest idealną osobą do pomocy, ale jest dostępna.

Bez wątplenia wyglądał na równie stanowczego, tak zimnego, jak brzmiał. Ale naprawdę, to było dla jej własnego

dobra. Myślała tylko, że go pragnie, potrzebuje go. Ale to była klątwa.

"Rozumiem." Posłała mu wymuszony, wymuszony uśmiech. „Dzięki za pomoc, ale znajdę własną drogę”.

Był teraz przyzwyczajony do gniewu kobiet. Ale na niej to było... złe. – Jeszcze raz przepraszam.

– Do widzenia, Reaux.

Jego imię na jej ustach – te usta – było boleśnie kuszące, by usłyszeć. Ale on jej nie powstrzymał. Był wieloma rzeczami: błędem, dziwką, drapieżnikiem. Ale ta, z której był najbardziej dumny, ta uzdrowicielka, nigdy celowo nie skrzywdziła innej duszy. Bez względu na to, jak piękna lub jak intrygująca była ta dusza.

ROZDZIAŁ 2

„Co masz na myśli mówiąc, że by ci nie pomógł?” – spytał Indy, opadając na krzesło naprzeciwko biurka Karen w klinice. „Co za dupek”.

– Chodzi o to, że chyba nie. Jej ciało wciąż drżało po sesji z Mackenzie i czymkolwiek to było z Reaux, Karen wróciła do swojego biura. Nie chciała wracać do domu. Nie chciałem, żeby ktokolwiek myślał, że znowu się rozpada, chociaż absolutnie tak było. Ale z sugestią żeńskiej Uzdrowicielki, by zabrać Caleba z dala od niej, wisiała nad jej głową, nie mogła pozwolić nikomu myśleć, że miała szczeliny. Nawet kobieta przed nią.

– Odmawiasz pomocy jednemu z nas? Indy ciągnęła dalej, jej motocyklistka/pixie-lalka miała maskę obrzydzenia. – Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy... i cholera, po tym wszystkim, przez co ty przeszedłeś.

Skinęła kobiecie solidarnym skinieniem głowy. Indy był jej przyjacielem w niewoli. Dobry, prawdziwy przyjaciel. Rozumieli się, dzielili ból tamtych czasów. Prawdę mówiąc, była jedyną osobą, z którą Karen mogła teraz rozmawiać, która mogła jej pomóc. Cóż, jedyna osoba, która odpowie.

— Poszedłbym do Raphaela — powiedziała Indy, jej ciemnoniebieskie oczy błyszczały.

"Nie." Sam pomysł, żeby pobiec do przywódcy Pantery z jej skargami, umieścić siebie i to, z czym się zmagala na jego radarze... Nie ma mowy. "Będzie dobrze. Nic mi nie będzie." Potrząsnęła głową. – Po prostu wydawało się, że on... nie wiem... rozumiał, czy coś. Sposób, w jaki patrzył na mnie tymi oczami, poruszył mnie".

"Co, proszę? Dotknął cię?"

„Byłem naprawdę zdenerwowany, płakałem...”

Oczy Indy'ego wybałuszyły się jeszcze bardziej. „Płakałeś? Nigdy nie widziałem, jak płaczesz.

„Kiedy mnie trzymał”. Posuwała się naprzód. „Czułem się...”

„Bezpieczny?” Indy skończył za nią.

Karen sapnęła cicho. "TAK. Ale czy to w ogóle możliwe?"

„Anioł sprawia, że to czuję”. Jej policzki zaróżowiły się, gdy mówiła o swoim przyjacielu uzdrowicielu. "Cały czas."

Oczy Karen opadły na biurko przed nią. Jej serce naprawdę bolało na słowa Indy. Nie dlatego, że żałowała swojej przyjaciółce oczywistej głębokiej więzi, jaką miała ze swoim partnerem. Ale ponieważ po tym pierwszym posmaku takiego połączenia Karen została odrzucona.

– Sprawil, że to poczułaś, Karen? – zapytał ją Indy. "Bezpieczny?"

Ona spojrzała w górę. Kiwnął głową.

Na ustach Indy pojawił się delikatny uśmiech. – W takim razie musisz iść do Raphaela. Cholera, porozmawiam z Anielem. Obaj są uzdrowicielami. Jestem pewien, że go zna. Parsknęła z nastawieniem. – Nie będę cię leczyć. Tylko dla par. Cokolwiek."

– Mówicie o Reaux?

Obie kobiety zwróciły się do drzwi. Stała tam bardzo ładna kobieta z blond włosami do ramion i ustami w kształcie łuku kupidyna. Nazywała się Gail i była jedną z asystentek Jean-

Baptiste'a. Była też wielką plotkarą.

— Przepraszam — powiedziała z psotnym wzruszeniem ramion. „Nie mogłem nie podsłuchać”.

— Tak, zgadza się — mruknęła Indy pod nosem.

„Wszyscy znają Reaux”. Na twarzy kobiety pojawił się powolny uśmiech. — Albo chcieliby. Ma... to coś. Nie możesz oderwać od niego wzroku, ani rąk, coś w tym rodzaju. Ale nie da się go złapać, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Karen mogła się rozpadać emocjonalnie, ale nie była idiotką. Oczywiście wiedziała, co miała na myśli Gail. A ta mała bestia w jej wnętrzu zastanawiała się, czy Gail rzeczywiście odniosła sukces w dziale przyciągania wzroku. Ale nie pytała. Zamiast tego przedstawiła gównu bardzo wyraźnie. „Nie interesuje mnie poznanie go ani złapanie. Tylko być przez niego leczonym.

— Cóż, szkoda, kochanie. Ponieważ on pracuje tylko... —

Z parami, wiem.

„Nie jest terapeutą typu „kłam na kanapie i opowiedz mi o swoim dzieciństwie”. Zakładam, że tego chcesz.

— Nie zakładaj, Gail — wtrącił Indy. — Każdy robi dupy.

„Po prostu informowałem. Czym on jest. Czym nie jest.

Karen nagle była naprawdę zmęczona. Zbyt zmęczony na te bzdury z Gail. Caleb bawił się z jednym z młodych hybryd. Może powinna iść po niego wcześniej.

Ale Indy wciąż był głodny. "Więc? Jakim więc jest Uzdrowicielem, Gail?

Usta kobiety wykrzywiły się w złośliwym uśmiechu. „Seksualny”.

W małym biurze zapadła cisza. Indy spojrzał na Karen, która z kolei wpatrywała się w Gail. Kto wydawał się zachwycony, że podzielił się tak soczystą wiadomością. Bez wątpienia reszta Pantery miała już tę informację dawno temu.

„Reaux ma coś w rodzaju przekleństwa prezentu – ciągnęła. „Urodzony z tym. To tak, jakby feromony jego kota również zrzucały się z jego ludzkiej skóry”.

"Co to do cholery znaczy?" – zapytał Indy.

"Wiesz, że

jak twój partner – Anioł, prawda? Kiedy jest w swojej kociej formie, ma piżmo, któremu nie możesz się oprzeć?

Indy poczerwieniał.

„Och, kochanie, każdy kocur to produkuje. Nie wstydź się.

– Nie jestem – wydusiła. "Trwać."

– Cóż, Reaux ma to cały czas. Forma kota. Forma męska. Jest seksualnie nie do odparcia dla nieskojarzonych samic.

Karen spojrzała z otwartymi ustami na Indy, która wydawała się równie oszołomiona jak ona.

– Dlatego pracuje tylko z parami – powiedziała Gail, przyciskając swoje akta do piersi. „Samce naznaczyły swoje samice i będą walczyć o nie na śmierć, jeśli zostaną zepchnięte. A przez większość czasu skojarzone samice i tak nie są przez niego kuszone. Przynosi parom zastrzyk energii seksualnej i uzdrowienie. To niesamowite. Gail przechyliła głowę, jej policzki zarumieniły się. „Wszyscy próbujemy się z nim dogadać. Tylko na noc. Słyszałem, że samo piżmo może posłać samicę poza krawędź, jeśli wiesz, co mówię.

TAK. Tak tak tak. Karen rozumiała, co mówi kobieta. Nie żeby było łatwo w to uwierzyć.

– Nie obchodzi mnie jego piżmo – powiedziała, choć skłamałaby, gdyby nie przyznała, że jest zaintrygowana. „Nie szukam z nim łatwopalnej nocy...”

„Kochanie, nie będziesz w stanie powstrzymać się przed pragnieniem tego. Nie, jeśli jesteś w odległości kilku stóp. Ale powodzenia, jeśli spróbujesz. I z mrugnięciem opuściła drzwi i ruszyła korytarzem.

Indy prychnął. „Uwierzysz w to gównno?”

"Nie." Stała, nogi wciąż chwiejne. Nie wiedziała, co z tym począć. "Idę do domu. Jestem naprawdę zmęczony."

"Pewnie. Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebować, dobrze?"

Szybko uściskała przyjaciółkę, po czym wyszła z biura. Teraz zrozumiała. Myślał, że reaguje na jego piżmo. Musiała go przekonać, że to nieprawda. Ponieważ nie miało znaczenia, jaki zapach wydzielał, ani kogo nie leczył. Potrzebowała go. Z odrobiną życzliwości i troski coś w niej zepsuł. Może, tylko może, pomoże jej go odbudować. Dwa razy silniejszy. Żeby mogła trzymać dziecko, które miała, znaleźć dwoje, które straciła i ostatecznie być matką, na którą każdy zasłużył.

S8

Zdjęty z koszuli, pot lśniący na jego skórze, Reaux leżał idealnie w równowadze na plecach na gałęzi drzewa, w popołudniowym słońcu, z widokiem na pędzące zalewisko. Był wyczerpany. Sesja Quintona i Via odbyła się dzisiaj w wodzie. Nie było innego sposobu na wyciągnięcie ich z kotów i przybranie ich ludzkich postaci. Utknęli w ten sposób od miesiąca. Za dużo cholernych kolein. Nie wspominając o ciągłej potrzebie bycia czujnym.

Wrogowie Pantery nie mieszkali już poza granicami Wildlands. Coraz częściej włamywali się i przybywali, by wziąć lub zniszczyć. Reaux odmówił odwiedzenia ani płomieni zbombardowanej Kwatery Głównej, ani początku odbudowy. Gniew zawsze budził u niego strach. Wydawało się, że zintensyfikowało jego piżmo. A skoro wokół było tyle kobiet, nie chciał, by odwracano jego uwagę od tego, co było niezwykle ważne. Wydawało się, że ostatnio cofał się coraz głębiej.

W chwili, gdy zasypiał, słońce przenikało jego skórę, zapach słodkiej mięty rozchodził się po jego nozdrzach. Jego zmęczone ciało natychmiast się poruszyło. Zarówno w obronie, jak i w świadomości. Zacisnął szczękę, a nozdrza rozszerzyły się. Co ona tu do diabła robiła?

– Zostań tam, gdzie jesteś – warknął cicho i zaciekle. „Ani kolejny krok”.

Odgłos kroków ucichł, po czym znużony głos odpowiedział:

„Ok”.

Niepokoila go ta nic emocjonalnego i fizycznego wyczerpania w jej tonie. Sprawil, ze jego swiadomosc wibrowala. Sprawilo, ze wszystko w nim bolalo o pomoc. To dlatego, dawno temu, jako mlody szczeniak, mial nadzieje zostac Uzdrowicielem. Znajdowanie przyczyn bolu i praca z osoba, aby go przeforsowac. To wlasnie zrobil dla niego jego wlasny Uzdrowiciel, kiedy pojawila sie jego klątwa. To i sprawilo, ze poczul sie mniej dziwakiem.

– Dlaczego tu jesteś, Karen? zażądał.

"Muszę z tobą porozmawiac."

– Mówilem ci...

– Że leczysz tylko pary. Wiem."

„Jeśli wiesz, powinieneś wrócić do kliniki z innym Uzdrowicielem”.

„Rozumiem też, dlaczego pracujesz z parami”.

Usiadł i odwrócił się do niej. "Ty robisz?"

Skinęła głową. Stojąc kilka stóp pod nim, otoczona zielonymi liśćmi i cętkowanym słońcem, z rudymi włosami upiętymi na czubku głowy w niechlujny kok, wyglądała niepokojąco ładnie. Przebrała się i miała na sobie ciemnoszare dżinsy i biały podkoszulek. Miała bujne, bardzo kobiece ciało; wysoki, silny, o niesamowitych krzywiznach. To prawda, była człowiekiem. Ale została zbudowana dla samca Pantery. Jeździć i być ujeżdżanym.

Ta myśl sprawiła, że Reaux warknął na siebie. Ostatnią rzeczą, jaką musiał zrobić, była fizyczna opinia o tej kobiecie. – Musisz iść, Karen. Ale już."

Potrząsnęła głową. "Nie."

Była uparta jak diabli. – Jeśli mnie rozumiesz, to wiesz, że nie powinno cię tu być. Nie powinno być w pobliżu mnie. I dlatego absolutnie nie mogę cię leczyć.

"Ale-"

"Żadnych ale."

– Nie jestem tobą zainteresowany seksualnie, Reaux.

Zamarł, wbijając tyłek w gałąź. Co właśnie powiedziała? Spojrzał na nią. Na początku ciekawy. Może nawet z nadzieją. Następnie nie dowierzając.

Zrobiła krok do przodu pomimo jego ostrzeżenia. "Jestem poważny."

Parsknął.

„Tu nie ma pragnienia”.

"Niemożliwy."

"Wow."

Westchnął. – Nie mówię tego w sposób arogancki, zapewniam cię. To fakt. Całe życie”.

– Być może – powiedziała, unosząc ręce do bioder. „Ale to nie ma na mnie wpływu. Nie masz na mnie wpływu. Może to dlatego, że jestem człowiekiem”.

Zeskoczył z gałęzi drzewa, lądując kilka stóp przed nią. Był zaskoczony i zaintrygowany, kiedy się nie przestraszyła. Zwłaszcza kiedy uniosła na niego brodę.

– Nie ma znaczenia, jaka krew płynie w twoich żyłach, Karen. Lub jakiegokolwiek kobiety, jeśli o to chodzi. To, co mam w sobie, zamieni każdą krew w ogień”. Moja klątwa. Albo jak nazywała to kobieta, która dała mi życie, moja niegodziwość.

Ale Karen nie była poruszona. "Nie ja. Nie czuję ochoty, by cię pocałować, rozedrzeć ci ubranie czy błagać, żebyś... – Urwała, potrząsnęła głową. „Słuchaj, moja potrzeba ciebie nie ma nic wspólnego z seksualną.”

Reaux wpatrywał się w jej oczy. Te bladobrązowe kałuże pasji i szczerości. Niemożliwy. Przysunął się bliżej, aż znalazł się zaledwie cal lub dwa dalej. Przyjrzał się jej. Powąchał powietrze. Czekałem. Obejrzałem. Ale nie poruszyła się. Po prostu spojrzałem na niego tymi oczami...

Niemożliwe.

Jego brwi złączyły się, gdy obliczał, czego był świadkiem. Jedyną rzeczą, którą powąchał, była słodka mięta. Nie było nawet najmniejszego powiewu kobiecego pożądania. Jak to było... Wpatrywał się w nią twardo. "Nie."

Jej oczy zwęziły się. – Nadal mi odmawiasz?

Nie powiedział jej, że jego „nie” oznaczało jedynie niedowierzenie w jej beznamietność, a nie odmowę. – Nie byłbym dla ciebie najlepszym wyborem, Karen. Moje szkolenie było ograniczone...

– Nie obchodzi mnie to.

"Powinieneś. To twoje zdrowie.

„Nie walczę tutaj tylko o siebie. Mój syn potrzebuje, żebym była cała albo... Głos jej się załamał i przekłęła. „Słuchaj, proszę cię tylko, abyś spróbował”.

Miała dziecko. I była zdecydowanie człowiekiem. Bez wątpienia trzymała go w niewoli. Jego wzrok przesunął się po jej twarzy.

– Potrzebuję cię, Reaux – szepnęła. „Nie masz pojęcia, ile”.

Głęboki ból, który przeszedł przez niego na jej słowa, był niemożliwy do odwrócenia. Chciał jej pomóc. Chciał ją chronić. Ale też chciał ją znowu przytulić. Poczuj jej ciężar na jego klatce piersiowej, jej dłonie przez tkaninę jego koszuli. Co to było? Nie jest to coś, co Uzdrowiciel powinien czuć do swojego pacjenta. Skąd mógł wiedzieć? Jego potrzeba kobiety nigdy nie mogła się zacząć, a tym bardziej rosnać. Zawsze był... zabierany.

– Więc – zapytała cicho. "Co myślisz?"

Co on myślał? To miał być błąd? Ale że był też niesamowicie ciekawy? Że musi jej pomóc? Że może stał przed jedyną kobietą na świecie, której pragnął, ale kto go nie pragnął?

Z warknięciem odwrócił się i wspiął z powrotem na drzewo. Dopiero gdy znów się położył, wypowiedział słowa: „Przyjdź do mojego biura jutro o dziesiątej”.

ROZDZIAŁ 3

Karen patrzyła, jak śpi w świetle księżyca. Piękny chłopak, który rósł zdecydowanie za szybko, pomimo spowolnienia przebywania w Wildlands. Caleb był bardzo podobny do swojego starszego brata Warda. Czy Tate też wyglądał jak oni? Jak ona?

– Kar?

Usłyszała wołanie z salonu i podsunęła kołdrę pod brodę Caleba, zanim zostawiła go we śnie. W jej małym salonie, jej przyjaciel Adrian siedział na kanapie, wściekle stukając w klawiaturę laptopa. Samiec był pełnym Pantera, , ale był w laboratoriach razem z nią i szczurami. Był tam już rok przed jej przyjazdem. Byli sąsiadami. Cela obok. Niejednokrotnie strażnicy poskładali je razem, aby sprawdzić, czy naturalnie się łączą. Oczywiście podczas gdy dranie obserwowali. Ale Adrian nigdy jej nie dotknął. I został za to pobity. Przez lata stali się przyjaciółmi, rozumieli się nawzajem, chronili się nawzajem. Niesamowicie obdarzony komputerami, teraz pracował z Geekami.

„Sprawdziłem akta urodzenia w Nowym Jorku na ten dzień i godzinę” – powiedział. "Nic. Jestem pewien, że ktokolwiek go zabrał, i tak nie użył tej dokładnej daty.

Karen wiedziała, że ta informacja jest mało prawdopodobna. Dzieci takie jak Tate były hodowane do eksperymentów. Nie mieli mieć aktów urodzenia ani zostać adoptowani przez agencje stanowe. Ale musiała spróbować.

„Będę wtedy badał adopcje” – dodał. – Skontaktuję się z lekarzami. Szkoły”.

Podeszła do kanapy i usiadła obok niego. „Dziękuję bardzo za zrobienie tego.”

„To mi też pomaga, jeśli to ma sens”.

"To robi."

„Czasami chciałbym...” Urwał.

"Co?"

"Nie wiem. Że ja... ty i ja mieliśmy... zamiast tego, co ci zrobili. on on

westchnął, posłał jej półuśmiech. „Gdyby były moje, może coś byłoby dla ciebie inne. Przynajmniej mogłem pomóc z młodymi.

Jego słowa wbiły się w nią. Były urocze i hojne. Ale były to fantazje. - Nie pozwolili ci zbliżyć się do dzieci, kiedy się urodziły, Adrian. Wiedzieliby, jak zareagujesz, gdyby spróbowali zabrać twoje dziecko.

– W takim razie mógłbym ci pomóc – powiedział.

"Jesteś." Położyła dłoń na jego ramieniu. "Już teraz."

Jego oczy zamknęły się, ale skinął głową. – Znajdziemy ich, Karen. Tak długo, jak to zajmie, dobrze?

"Dobra." To było wszystko. Trzymanie przy sobie Caleba i odnalezienie Warda i Tate. I tak doceniła hojność swojej przyjaciółki. — Ale nie dzisiaj — powiedziała dosadnie. „Jeszcze jedna godzina, max. Więc jesteś stąd. Wiem, że masz randkę.

Mięśnie Adriana napięły się na wzmiankę o Łowcy, którego widział. Podobnie jak wielu samców Pantery, którzy wrócili z laboratoriów, miał trudności z otwarciem się na kogokolwiek, a tym bardziej na samice. To było tak, jakby jego ciało było w ciągłej gotowości. Chciał się zrelaksować i dobrze się bawić, ale nigdy nie czuł się... bezpieczny.

Pukanie do drzwi wyrwało Karen z zamyślenia. Rzuciła Adrianowi spojrzenie. – Czy Alisa cię tu spotyka?

"Nie."

Wstała i skierowała się do drzwi, nerwy w jej brzuchu łamały się. Podobnie jak Adrian, ona też miała ten ciągły stan czujności. Pochodził z niewoli. Nigdy nie wiedziałaś, co lub kto po ciebie przyjdzie.

Odsunęła drzwi i ze zdziwieniem zobaczyła stojącego tam Reaux. Światło księżyca za jego plecami.

„Cześć, Karen”.

Ubrany swobodnie w czarny T-shirt i dżinsy, trzymał w ręku teczkę. Jej serce zabiło się na jego widok.

„Myślałam, że nasze spotkanie jest jutro”, powiedziała, zaniepokojona jękami. Bardzo jasno dała mu do zrozumienia, że jego pismo nie wpływało na nią. – W twoim biurze?

"To jest. Przyniosłem coś do wypełnienia. Kilka pytań, na które można lepiej odpowiedzieć bez ograniczeń czasowych i presji”.

"Oh okej." Wzięła akta, choć pomyślała, że to trochę dziwne, że przywiózł je osobiście, i to w nocy. Ale nie miała zamiaru tego kwestionować. Potrzebowała go. "Dziękuję Ci."

"Oczywiście."

Czekała, aż się odwróci i wyjdzie, ale kiedy tego nie zrobił, zapytała: „Czy było coś jeszcze?”

Jego nozdrza lekko się rozszerzyły, a brwi zmarszczył.

– Reaux? Co się dzieje?" Modliła się, żeby nie miał wątpliwości. Ponownie.

– Kar, myślę, że mogłem coś znaleźć. Adrian wykorzystał dokładnie ten moment, by stanąć obok niej przy drzwiach. Kiedy zauważył stojącego tam Reaux, przywitał go czubkiem podbródka. "No hej."

Reaux nic nie powiedział. Ale był pewien, że wpatrywał się, a mięśnie jego szyi lekko nabrzmiały.

– Adrian – powiedziała szybko Karen, próbując zorientować się, co dzieje się w jej foyer. A może próbowała tego uniknąć. – To jest Reaux. Uzdrowiciel, o którym ci mówiłem.

"Oh." Jakby to miało znaczenie, wyciągnął rękę. "Miło Cię poznać. Dzięki za pomoc tutaj mojej dziewczynie."

Reaux wyglądał, jakby miał się zmienić. Właśnie wtedy i tam. I widziała w laboratorium wystarczająco dużo samców Pantera – wkurzonych samców – żeby wiedzieć, kiedy nadchodzi zmiana. W powietrzu unosiła się ta elektryczność, a rysy twarzy samca nieznacznie się zmieniły. Więcej kotów. Śmiertelny, drapieżny rodzaj kota.

Ale zamiast tego powiedział chłodno: „Teraz rozumiem. Zobaczymy się jutro.” Przed odwróceniem się i odejściem.

Gdy deszcz zasypywał Wildlands, Reaux zwrócił się do dwóch mężczyzn siedzących naprzeciwko niego. „Nie chcę słyszeć o jej historii od żadnego z was”. Zbudował zadaszony taras na tyłach swojego gabinetu w klinice. Okazało się to przydatne zarówno dla niego, jak i dla par, z którymi pracował. Albo teraz na szybkie spotkanie przy śniadaniu z przywódcą Pantery i Uzdrowicielem.

„Chciałem dać ci tylko niektóre elementy układanki” – powiedział Jean-Baptiste pomiędzy kęsami jabłka, z nowym tatuażem, który właśnie zrobił, z oczami swojego partnera migającymi na grzbiecie jego dłoni. „Co większość by wiedziała. Nic intymnego.

- Ona ma młode - wtrącił Raphael. Przywódca Pantery, który również był kuzynem Reaux, był ubrany niedbale w dżinsy i czarną bluzę. Bez wątplenia rozkoszują się dniem bez garnituru i krawata. – Ma na imię Kaleb.

Reaux pokręcił głową. Oczywiście wiedział, że kobieta ma dziecko, ale jak już kilkakrotnie mówił samcom, chciał usłyszeć od samej Karen.

- Pomijając historię mojego nowego pacjenta - powiedział do Raphaela dobitnie - czy nie jest coś, co chcesz mi powiedzieć?

Złote oczy mężczyzny rozbliły się. – Wzywałeś nas tutaj, Reaux.

„Nie martwisz się?”

"O czym?"

„Jak moja klątwa może wpłynąć na tę ludzką kobietę? Taki, który najwyraźniej przeszedł przez silną traumę.

Rafaël prychnął. — Kuzynie, nigdy się nie martwiłem. To był irracjonalny problem twojej matki i mojej ciotki. Wydawało się, że lubi ją torturować. Zawsze byłeś mądry w tym, co myślisz, że możesz sobie poradzić. Nie muszę się w to angażować”. Wypuścił

znużony oddech. „Poza tym mam kilka innych pilnych spraw do załatwienia”.

– Jak bezpieczeństwo naszego gatunku – wtrącił Jean-Baptiste.

– Cholera... już nie tylko bezpieczeństwo. Przetrwanie.”

Reaux spał się, prawie wchodząc w tryb walki. "Co się stało?" Przede wszystkim był Panterą. Gotowy do walki, chronić. Gotowy do użycia swoich zębów i pazurów na wszystkim, co zagraża jego gatunkowi. „Czy był kolejny zamach samobójczy?”

– Nie – przyznał Raphael. „Ale znamy powód tego. Próbując zniszczyć informacje o wirusie biologicznym, który stworzył Christopher, który mógłby zniszczyć Panterę. Nie chciał, żebyśmy w ogóle wiedzieli, że istnieje”.

Kot w środku Reaux drapał i warczał, żeby się wydostać. „Jak, do diabła, mógł stworzyć coś takiego?”

„Miał nasz gatunek do zabawy i eksperymentowania przez długi czas, Reaux”, powiedział JB, a metal w jego ustach i brwiach błysnął, gdy na niebie zamigotała szybka błyskawica. „Obawiam się, że zna nasze DNA lepiej niż my”.

Tego drania trzeba było uśpić. „Czy badania zostały zniszczone?”

– Na to wygląda – powiedział Raphael. – Ale wkrótce będziemy mieli potwierdzenie. Mam nadzieję, że coś da się uratować. Jeśli uda nam się zdobyć formułę, możemy stworzyć antidotum. Albo taka jest nadzieja.

– Karen może ci o tym powiedzieć więcej – powiedział Jean-Baptiste.

Imię kobiety sprawiło, że skóra Reaux napięła się. "Co?"

– Wiem, że nie chcesz historii, ale ona tam była. Zaledwie kilka dni temu. To jej syn, Ward, przekazał nam informacje. Po tym, jak najpierw uprowadził Karen. Potrząsnął głową. „Wciąż nie wiem, co z tym zrobić. Bohater lub złoczyńca. Ale przynajmniej zapewnił naszym ludziom bezpieczeństwo.

– Jasna cholera – powiedział Reaux. – Ta biedna kobieta.

Raphael uniósł brew. "Więc. Naprawdę chcesz, żebym powiedział, że nie możesz jej pomóc?"

"O tak."

„I czy wykonasz ten rozkaz, jeśli go wydam?”

„Kurwa nie”. Uśmiech, który postrzelił mężczyźnie, był ciemny i na wpół oślepiony.

Raph i Jean-Baptiste roześmiali się. To była trudna linia do pokonania, prowadząca grupę samców i samic, które były głównymi drapieżnymi zwierzętami, które chciały robić to, czego chciały – kierowanych instynktem robienia tego, co chciały. Ale Raphael dobrze sobie z tym poradził. W swoich rządach był sprawiedliwy i rozważny.

„W czym tak naprawdę jest problem?” – zapytał Jean-Baptiste. „Czy ci się do niej pociąga? Nie żebym cię winiła. Ona jest gorąca.”

Raphael strzelił mu w bok. „Nie pozwól swojej kobiecie usłyszeć, że tak mówisz”.

JB prychnął. "Proszę. To jedna z naszych gier. Moja koleżanka i ja. Genevieve mówi, kto jej zdaniem jest gorący. Mówię, kto moim zdaniem jest gorący. Potem, kiedy oboje jesteśmy tak zazdrośni, że zaraz stracimy rozum, oboje zamieniamy się w nasze koty i robimy się nieprzyjemni...

Reaux odchrząknął.

„Tak, mamy zdjęcie, bracie”.

Jean-Baptiste zaśmiał się ponuro.

– Czy ci się do niej pociąga, Reaux? – zapytał Rafael.

Reaux uniknął pytania. Głównie dlatego, że nie był pewien, co myśli o tej kobiecie. Jak powinien się do niej czuć. „Ona twierdzi, że nie ma na nią wpływu”.

Jego kolega Uzdrowiciel, miłośnik tatuaży i poważny nałogowiec prawie udławił się ostatnim kawałkiem jabłka. „Jak

to możliwe?”

Reaux wskazał na mężczyznę. "Dokładnie."

– Ona nie jest w parze, prawda? – zapytał Rafael.

– Tak myślałem. Ale... może się z kimś spotkać. Słowa brzmiały mu jak żwir w gardle. „Czy któryś z was zna Panterę o imieniu Adrian?”

Jean-Baptiste skinął głową. – Sprawdziłem go, kiedy on i pozostali weszli.

„On jest szczurem? Hybrydowy?”

„Pełna Pantera”, powiedział mu JB. — Schwytywany wcześniej i przetrzymywany w jednym z laboratoriów. Niesamowicie obdarzony IT. Słyszałem, że był nieustraszonym obrońcą kobiet w środku. Albo próbowałem być.

Typ bohatera. Brzmiało to tak, jakby Karen wybrała właśnie takiego mężczyznę. Dobry samiec. Dlaczego więc Reaux chciał rozerwać mu gardło?

– Jakie to ma znaczenie, z kim się widzi? – zapytał Raphael, jego oczy błyszczały z rozbawienia. – Wiesz, jeśli nie jesteś zainteresowany.

Reaux posłał mu dzikie spojrzenie. – Pieprzyć się, kuzynie.

Lider Pantery roześmiał się. I kiedy dołączył do niego JB, drzwi do biura Reaux zabrzęczały.

"Ona tu jest." Reaux wstał i wstał z miejsca w kilka sekund.

– Tak, on nie jest w niej – wymamrotał Jean-Baptiste, odsuwając krzesło.

"Zupełnie nie." Rafael wstał. „Przypuszczam, że możemy wyjść tak, jak przyszliśmy. Skończ śniadanie w domu z moim kumplem i małym.

JB skinął głową. „Muszę wracać do pracy”. Powolny uśmiech dotknął jego przekłutych ust. „Albo mógłbym wślizgnąć się z powrotem do łóżka z Genevieve i zrobić z niej drugie

śniadanie...”

„Słuchaj,” przerwał Reaux, warcząc. „Deszcz przestał padać. Dziękuję za przybycie. Porozmawiam z wami później.

Gdy dwaj chichoczący mężczyźni wystartowali, Reaux wszedł do swojego biura. Pierwszą rzeczą, która go uderzyła, był zapach słodkiej mięty. Cholera, to będzie problem. Musiał oddychać przez usta. I wtedy ją zobaczył. Siedział na jednym ze skórzanych krzeseł. Jej granatowa koszulka, dzinsy i seksowne rude włosy były mokre od deszczu. Zaciśnięta szczęka, irytująco rozszerzone nozdrza, podniósł wzrok, by spotkać jej. Czy musiała być taka piękna? I Bogini, czy jej uśmiech musiał tak rozświetlić jego wnętrze?

S9

Kot w nim wygiął pazury, zastanawiając się, czy uśmiechnęła się w ten sam sposób do tego Geeka, Adriana.

Z gardła Reaux wyrwał się warkot. Takie myśli były głupie i bezsensowne. Chociaż Pantera nie miała problemów z relacjami Uzdrowiciel/pacjent, tak jak miało to miejsce w ludzkim świecie, Reaux nie był zwykłym Uzdrowicielem – ani mężczyzną, jeśli o to chodzi. Nie utrzymywał związków. I kto wie, jaka była sytuacja Karen. Równie dobrze można ją było twierdzić, że...

– Dzień dobry – powiedział chłodno, odcinając myśli i zajmując miejsce naprzeciwko niej.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedziała. "Dla tego."

"Oczywiście. Czy mogę coś dla ciebie dostać? Woda? Herbata?"

"Nie, dziękuję. A oto formularz, który kazałeś mi wypełnić. Podała mu go i rozejrzała się. „Twoje biuro jest naprawdę ładne. Nie tak jak Mackenzie. Nie przypomina niczego, co tu widziałem. To takie... uspokajające. Jakbyś wprowadziła to, co zewnętrzne.

To było dokładnie to, co chciał zrobić, kiedy przywiózł rośliny, zbudował meble z rodzimego drewna. Sam wstaw świetliki. W końcu byli Panterą – cóż, większość z nich – i otaczanie się ich naturalnymi elementami wydawało się niwelować niepokój, jaki odczuwali najbardziej, gdy przyszli po pomoc.

„Gdzie chciałbyś zacząć?” – zapytał, starając się jak diabli

powstrzymać się od utonięcia w jej zapachu.

W zamyśleniu przygryzła wargę, co tylko zdołało zaintrygować jego kota.

– Nie ma złego miejsca, Karen – zapewnił ją.

"W porządku." Odetchnęła głęboko, po czym powiedziała: „Cóż, zostałam zabrana z mojej rodziny, kiedy miałam siedemnaście lat i wrzucona do celi. Przez następne dwanaście lat byłam bita, eksperymentowana i inseminowana. Urodziłam trzy razy, chociaż nadal jestem dziewicą. Mam dziś tylko jedno z tych dzieci i obawiam się, że mnie też zabiorą. Uniosła brodę. „Jestem tu dzisiaj, aby upewnić się, że tak się nie stanie”.

ROZDZIAŁ 4

Karen nie była zdziwiona szokiem, jaki ujrzała na niezwykle przystojnej twarzy Reaux. Właściwie to wszystko wyłożyła. Cóż, w każdym razie nagłówki.

„Nie wiesz, gdzie z tym iść?” zapytała go z nerwowym śmiechem.

Potaął dłonią podbródek. „Jak myślisz, jak mogę pomóc ci zachować syna?”

Dobre pytanie. Sama nie była do końca pewna. „Mam we mnie dużo złości, strachu i urazy. To teraz część mojego DNA. To mnie trzyma w niewoli. Nie kraty ani te kawałki gówna, które ukradły mnie z mojego domu i rodziny. Muszę znaleźć sposób, żeby to uwolnić.

Jego oczy szukały jej, jakby odpowiedzi były w jakiś sposób ukryte. A może byli. Może uda mu się je znaleźć. Te niesamowicie piękne szare kule wydawały się posiadać nienaturalną moc.

„Mam tendencję do myślenia, że ta emocja – zaczął – dobra lub zła, pozytywna lub negatywna, jest energią. Jest płynny. Może wchodzić i wychodzić. Jak oddychanie.

„Nie sądzisz, że czasami emocje mogą zostać uwięzione?”

„Wyraźnie w to wierzysz. Co jest o wiele potężniejsze niż to, co

myśle.

– Reaux, chcę wiedzieć, co myślisz. Dlatego tu jestem. Aby uzyskać odpowiedź. Żebyś mi powiedział, jakie kroki muszę podjąć, by uwolnić to wszystko... gównu.

„Próbowałaś medytacji?”

– Nie – powiedziała.

„Może być bardzo skuteczny w uspokajaniu mózgu i układu nerwowego. Ćwicz też. A niektóre potrawy... potrafię ułożyć plan. Jeśli te trzy elementy działają, możesz mnie nawet nie potrzebować.

Jej brązowe oczy zwęziły się. "Co ty robisz?"

„A jeśli to nie zadziała, są też leki...”

"Zatrzymaj się." Cofnęła się.

"Jaki jest problem?"

„Wiem, co robisz”.

– Chciałeś mojej rady. Moja rada.

– A ty dajesz mi kilka domowych środków, żeby mnie stąd wydostać – oskarżyła gorąco. „Nadal myślisz, że chcę skakać po twoich kościach!”

– Próbuję ci pomóc, Karen. Może moje metody...

– To nie pomoże – wykrztusiła, wstając. Jeśli nie miał zamiaru potraktować tego poważnie, to po co? „To bzdura”.

"Tam." Skrzyżował ręce na piersi. "Już teraz. Powiedz mi, co dzieje się w twoim ciele, mózgu i sercu”.

„C-co...” wyjąkała, rozglądając się za ukrytą kamerą czy coś takiego. "Co to jest? Gra?"

Ale Reaux patrzył na nią. Ciężko. Uważnie. "Powiedz mi. Ale już. Co czujesz?"

Na początku chciała mu powiedzieć, żeby poszedł do piekła. Że

cokolwiek to robi, nie zadziała. Ale sposób, w jaki na nią patrzył... te oczy. Poczwała... — Upał — wyszeptwała. "Budynek. Bulgotanie. Nigdzie nie mogę iść. Nie mogę przejść. W górę iw dół w moim umyśle. Nie ma dokąd pójść."

Przestała mówić i po prostu stała z szeroko otwartymi oczami, oddychając płytko.

– Usiądź, Karen – powiedział łagodnie. Kiedy się nie poruszyła, obdarzył ją zachęcającym uśmiechem. "W porządku."

Łzy pojawiły się w jej oczach, gdy opadła na krzesło. To było brutalne. Dziwny. A jednak czuła się zauważalnie lżejsza.

– Przepraszam – zaczął. „Wiem, że jest to szokujące dla systemu, ale to najlepszy sposób na radzenie sobie z bólem emocjonalnym, jaki znalazłem. Wymuś go na powierzchnię. Zobacz, jak to wygląda. Czuje się jak”.

Karen nic nie powiedziała. Nie mogła. Po prostu otarłem łzy zalewające jej policzki.

– Wczoraj – powiedział – kiedy płakałeś w moich ramionach. To było ulewne”. Przyglądał się jej przez chwilę. — Kiedy ostatni raz...

— Płacz to słabość — wyszeptwała. — Nie mogę na to pozwolić. Nie mogłem na to pozwolić.

"Ale to zrobiłeś. Tutaj."

Tak. Dokładnie. Znowu wstała. Wzrok Reaux śledził ruch. Bez wątpienia myślał, że wyjeżdża, że może żałowała, że do niego przyszła. Ale zamiast wyjść za drzwi, chwyciła przód swojego krzesła i zaczęła go ciągnąć w jego stronę.

"Co ty robisz?" powiedział ostrożnym tonem.

„Zbliżam się”.

"Widzę to. Ale dlaczego?"

Kiedy w końcu wylądowała, dobre sześć cali przed nim, ocierając się kolanami o jego, powiedziała nerwowym głosem: —

Słuchaj, nie rozumiem tego, ale twoja... fizyczna obecność mi pomaga. Zmienia sposób oddychania. Sprawia, że płacę jest w porządku, a nawet zdrowym”. Przez chwilę studiowała jego wyraz twarzy. Pokręciła głową. „To nie jest w żaden sposób seksualne, więc nie wariuj”.

„Nie wariuję”. Jego ton był ciemny i złowieszczy.

– Martwisz się, że zedrę ci ubranie zębami.

Jego nozdrza rozszerzyły się. – Nie powiedziałbym, że dokładnie się martwię.

„Więc co?”

Jego oczy zagłębiły się w jej. „Może twój partner nie czułby się z tym komfortowo. Jak musisz być blisko mnie.

Nagle wyglądała na zdezorientowaną. „Nie mam kumpla”.

– Mężczyzna w twoim domu zeszłej nocy... – zaczął ponuro.

– Och, Adrianie. Potrząsnęła głową. "Nie. Jest przyjacielem. Bliski przyjaciel. Prawdopodobnie też będzie potrzebował trochę tego. Ale nie martw się, nie chciałby też skakać po twoich kościach.

Reaux nie śmiał się z jej oczywistego żartu. Nawet się nie uśmiechnął.

– Adrian i ja się rozumiemy – kontynuowała. "Pomagamy sobie nawzajem. Otóż to."

– Byliście razem w laboratorium?

"TAK."

„Czy on jest ojcem...”

– Nie – powiedziała szybko. „Nie wiem, kto jest ojcem Caleba ani żadnego z moich dzieci”. Na chwilę odwróciła wzrok. Na kępie rodzimych roślin w rogu. – Ten, który porwał mnie zaledwie kilka dni temu, Ward, od dzieciństwa mówiono mu, że nigdy go nie pragnę. Że w zasadzie go odrzuciłam. Wyraźnie faworyzuje stronę Pantery. Ma zaledwie dziewięć lat, ale wygląda

prawie tak samo jak ja. Mężczyzna. Nigdy nie widziałem, jak dorasta. Jej spojrzenie przesunęło się z powrotem na Reaux. „Jak mam się smucić bez gniewu?”

— Nie wiesz — powiedział po prostu. „Ale musisz się smucić e to”.

— On po prostu gdzieś tam jest. Został ranny, postrzelony, próbując pomóc nam uciec. Raphael ma teraz ludzi, którzy go szukają, mam nadzieję i modłę się... Wzruszyła ramionami, a łzy znów spłynęły jej po policzkach. Co się z nią działo? Była chodzącym kanałem łzowym wokół tego faceta. — Ale co z Tate, wiesz? Mój najstarszy. Mój pierwszy. Został wyrwany z moich ramion, zanim zdążyłam go pocałować na pożegnanie. Dlatego Adrian był ubiegłej nocy. Pomaga mi znaleźć Tate'a, wysledzić go.

— A jeśli nie możesz?

Spojrzała na niego, jakby właśnie walnął ją w brzuch. "Nie o to chodzi. Muszę spróbować. Muszę wiedzieć. To moje dzieci, Reaux. Nie mogę spocząć, dopóki nie dowiem się, że są bezpieczne.

Wypuścił oddech. "Rozumiem. Nie chcę sugerować, że nie zostaną znalezione, Karen. Martwię się tylko o twoje samopoczucie emocjonalne”.

— Zajmę się tym. Posłała mu smutny uśmiech. „Zajmuję się tym. Ale są i zawsze będą moim priorytetem”.

Reaux patrzył na nią przez długi czas. Potem delikatny uśmiech dotknął jego zwykle twardego ust. „Jesteś cudowną matką”.

Karen sapnęła cicho. "Jak możesz tak mówić? Skąd możesz to wiedzieć?

„Ponieważ miałem odwrotnie. Moja matka była zawsze w pobliżu. Zawsze dokładnie wiedziałem, gdzie jestem. Nie z miłości czy troski. Ale żeby mnie potępić.

Byli od siebie tylko o stopę, ale Karen poczuła, że pochyła się bliżej. „Dlaczego miałyby cię tak traktować?”

Potrząsnął głową. „Nie ma znaczenia”.

"To ma dla mnie znaczenie."

Te zaskakujące szare oczy spotkały się z jej, a wewnątrz jej żeber ten mięsień, którego zawsze chroniła lub ignorowała, bił ze świadomością.

„To, z czym się urodziłem”, powiedział jej. „Uznała to za przekleństwo. Jak zakłopotanie. Na znak, że byłem niegodziwy. I zawsze dawała mi znać, jak bardzo była mną zniesmaczona. Gwałtownie wciągnął powietrze. "Przepraszam. Nie powinienem ci tego mówić.

– Nie, nie czuj się w ten sposób. Cieszę się że zrobiłeś."

Coś, najwyżej przez pół sekundy, zabłysło w tych jego oczach. Jego kot? Jego emocje? Dziecko czy lisiątko, którym był kiedyś? Nie mogła tego przeczytać. A potem cofnął się i powiedział chłodnym tonem: „Myślę, że na dzisiaj skończyliśmy”.

Wszystko w niej mówiło, żeby go popchnąć, zachęcić. Aby być traktowanym w ten sposób przez jedną osobę, której powinieneś być w stanie zaufać ponad wszystkie inne... musiało to być bardzo głębokie. Ale jeśli ktokolwiek rozumiał, że uczucia pojawiają się tylko wtedy, gdy chcą się ujawnić, to właśnie ona.

Wstała i odsunęła krzesło z powrotem na miejsce. "Jutro?" zapytała, odwracając się ponownie do niego. "W tym samym czasie?" Spróbowała się uśmiechnąć. "To samo miejsce?"

Nie ugryzł. „Pozwól, że sprawdzę mój harmonogram. Dam ci znać."

Starła się nie okazywać troski, ale nie było to łatwe. Kiedy podeszła do drzwi, zatrzymała się, zanim przekroczyła próg do recepcji i obejrzała się za siebie. „Reaux?”

Podniósł wzrok znad teczki, którą trzymał. Jego twarz była maską beznamietności. "TAK?"

"Czuję się trochę lepiej. Zapalniczka. Wydaje mi się, że część z nich wypuściłem dzisiaj”.

– Cieszę się, Karen.

Ale on na to nie wyglądał, i wychodząc, zastanawiała się, czy znowu się od niego odezwie. Albo czy to była ich jedyna sesja.

Po bombardowaniu w pobliżu domu Raphaëla i Ashe'a utworzono tymczasową kwaterę główną. Ledwo mógł pomieścić personel, z których wielu pracowało na zewnątrz przy prowizorycznych stołach lub nawet pod drzewami. Nikt nie wydawał się mieć problemów z bliskością. Z wyjątkiem Reaux. Rzadko chodził gdziekolwiek z tłumami lub skupiskami żeńskiej Pantery. Oczekiwano tego od niego, a teraz przyzwyczajenie. Ale dzisiaj musiał zobaczyć przyjaciela.

Przechadzając się po domu, szukając, starał się nie zwracać na siebie uwagi. Ale nie minęło dużo czasu, zanim zdradził go jego zapach.

– Cześć, Reaux – zawołała kobieta, podnosząc wzrok znad biurka. Którą dzieliła z inną kobietą i samcem Hunter o imieniu Night. Cała trójka uśmiechnęła się z zamiarem i skinęła na niego.

Skinął głową, ale szedł dalej. Gdy to robił, za każdym jego ruchem podążały niskie warczenia i głębokie wdechy.

„Powodować problemy?” rozbawiony męski głos powiedział, że drugi Reaux wszedł do sypialni wielkości szafy.

– Nie próbuję – odpowiedział Reaux, siadając na krześle obok metalowego biurka mężczyzny.

Irek uśmiechnął się do niego. – Dobrze cię widzieć, Przeklęty.

Reaux roześmiał się. Zawsze tak robiłem. Jego przyjaciel z dzieciństwa przeżył to wszystko. Wszystko widział i słyszał, a nawet dzielił własne kłopoty z przeszłości. – Wiesz, że normalnie bym do ciebie nie przyszedł, ale potrzebuję twojej pomocy.

Irek był szpiegiem, od pięciu lat mieszka w Niemczech. Ale niedawno, jak wielu, został wezwany z powrotem do Wildlands.

– Jestem szeroko otwarty – powiedział mężczyzna, a jego

niebieskie oczy błyszczały z zainteresowaniem.

– Nie, nie jesteś – sprzeciwił się Reaux. „Jestem pewien, że twój tyłek jest głęboko zakorzeniony w tej broni biologicznej”.

Ciemne brwi uniosły się. – Wiesz o tym?

„Mój bo.”

– Dobrze, Rafaelu. Wzruszył ramionami. „Jestem, ale potrafię wykonywać wiele zadań jednocześnie. Wiesz to.”

Reaux skinął głową. "Ja robię. Ale nie mówię o tym, jak regularnie bierzesz dwie kobiety naraz.

"Szkoda." Uśmiechnął.

„Szukam mężczyzny. Hybrydowy. Urodził się pod imieniem Tate. Wyszedł z laboratoriów Benson jako niemowlę. Jego brat nazywa się Ward i pracował z Christopherem. Może nadal tak jest.

– Facet, który nakręcił dupków z Benson i wyprowadził Cammy i Ice z laboratorium? Szukamy go. Jasne, że ma kupę informacji o tym zabójcy, którymi może się podzielić.

– Tak, to młodszy brat Tate. I syn Karen. Mam nadzieję, że kiedy go znajdą, będzie chciał porozmawiać. Nie mówiąc już o przebaczeniu temu, który dał mu życie. Reaux przesunął przez biurko kawałek papieru. „To ma czas, datę, miejsce urodzenia, możliwą kolorystykę. Imię i sytuacja matki.

Irek wpatrywał się w nią przez chwilę. „Chcesz wiedzieć, czy on żyje, czy nie żyje?”

Reaux skinął głową.

– A jeśli on żyje...?

– Tylko gdzie go znaleźć. Nie angażuj się. Nie przyprowadzaj go tutaj.

"Masz to." Posłał Reaux szeroki uśmiech. "Więc? Kiedy wychodzimy? Nowy Orlean, czy do diabła, nawet ten gówniany bar w mieście? Przydałby mi się skrzydłowy.

Reaux pociągnął nosem. „Nigdy nie potrzebowałeś skrzydłowego”.

"Prawdziwe. Ale na pewno mi się podobało.

„Dobrze cię widzieć, bracie”.

"Ty też." Wstał i uściskał Reaux.

„Hej, czy jest stąd wyjście z tyłu? Tam jest trochę tłoczno.

Irek uderzył brodą w stronę otwartego okna. "Jak za dawnych czasów."

Chichocząc, Reaux skierował się prosto w jego stronę. Ale w chwili, gdy się prześlizgnął, dostrzegł kobietę i dziecko idących w parze kilka jardów dalej. Szli w kierunku zalewu.

Karen i jej młode.

ROZDZIAŁ 5

„Trzy, proszę”, powiedziała Karen do uśmiechniętego chłopca, którego ręce były już pokryte błotem. „I spraw, by były wyjątkowo grube”.

"Z serem?" – zapytał Caleb.

– Ser, cebula, pikle...

– Ketchup i musztarda?

Roześmiała się i rozłożyła koc na wilgotnej ziemi, po czym otworzyła kosz piknikowy. „Po prostu spraw, aby to działało, kochanie. Trzy błotne cheeseburgery ze wszystkim na sobie. Bo tutaj. Nie iść."

On też się roześmiał i odpłynął w dół brzegu. Przed rozłożeniem właściwego jedzenia, które przyniosła, Karen usadowiła się na grubym dywaniku i podciągnęła kolana do piersi, głęboko wdychając zalewisko. Kilka godzin temu deszcz ustał i pozostawił po sobie najjaśniejsze słońce. Na sekundę zamknęła oczy i pozwoliła mu wsiąknąć w jej skórę. Jak na styczeń było ciepło. Byłem przez ostatni tydzień. I będzie się tym cieszyć ze

swoim chłopcem.

"On wygląda jak ty."

Męski głos ją przestraszył i odwróciła się. Reaux stał kilka stóp dalej. Skąd się wziął? I jak go nie słyszała?

? – Hej – powiedziała.

Ubrany był swobodnie, w dżinsy i biały T-shirt dopasowany do jego szerokiej piersi i grubych bicepsów. Wyglądał na zrelaksowanego. Przystojny. Chociaż widok go bez koszulki i lekko spoconego poprzedniego dnia był dość trudny do przebiccia.

Nie żeby tak myślała. To prawda, że nie była taka jak inne kobiety. Nie mogła wyczuć jego pizma. Ale była... kobietą. I miała oczy. I popęd seksualny, chociaż nigdy go nie wykorzystwała. A Reaux był najseksowniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała.

„Widziałem, jak idziesz w tę stronę i pomyślałem...” Wzruszył ramionami, a kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

– Sprawdziłbyś mnie? Jej serce trzepotało w piersi. Czuję się jak zapalona świeca. „To wykracza daleko poza twoje obowiązki jako moje 'ucho'”.

Uniósł brwi. "Twoje ucho."

"Wiesz, że. Mówię, ty słuchasz."

„Ach. Cóż, to „ucho” spotykało się z przyjacielem i właśnie zobaczyłem ciebie i szczeniaka zmierzających w stronę zalewu.

Usiadł obok niej i po raz kolejny wybuchło w niej uczucie migotania świecy. To było dziwne i nieznanne uczucie. Nie podobało jej się to, do czego była przyzwyczajona: strach, niepokój czy strach.

"Jesteś głodny?" ona zapytała go. „Mam kanapki i owoce. Ale Caleb też gotuje zabójcze mudburgery.

– Jakkolwiek kuszące to brzmi... – Jego wzrok przesunął się po jej twarzy. – Nie przyszedłem porwać twojego piknikowego lunchu.

"Nie?"

Potrząsnął głową.

Coś się działo. Między nimi. W powietrzu. Gdyby nie wiedziała, jak mocno czuł, że nie ma do niego uczuć seksualnych, mogłaby przysiąc, że chce ją pocałować. To prawda, że w młodości nie była tak często całowana, ale ciało wie.

„Więc... dlaczego wpadłeś?” – zapytała, a jej ton był... żartobliwy. Bałamutny. Nie mogła tego powstrzymać. To było tak, jakby po cichu zapraszała go, by ją pocałował.

S10

Ale zanim zdążył odpowiedzieć, zanim mógł pochylić się i dotknąć jej ust swoimi, podbiegł Caleb. "Kim jesteś?"

Reaux odwrócił się od niej, by zwrócić się do chłopca. „Reaux”.

„Czy jesteś Panterą?”

„Wdychaj przez nos, kotku, a ty mi powiedz”.

Caleb spojrział na Karen i uśmiechnął się, jego oczy były tak ciężkie z podniecenia, że aż zacisnął jej się brzuch. Następnie, pod błękitnym popołudniowym niebem zalewiska, jej syn zamknął oczy i zaciągnął się powietrzem, próbując wyczuć pumę wewnątrz samca.

"Tak, jesteś!" wykrzyknął.

Reaux uśmiechnął się. "Bardzo dobry. Twoje zmysły są silne.

Caleb rozpromienił się. „Czy możesz się zmienić?”

"Oczywiście."

Twarz chłopca opadła. – Nie mogę. Albo nie wiem jak. Próbowałem. Kilku Łowców mnie uczyło, ale to nie działało. Spojrział ponownie na Karen i zmarszczył brwi. „Może nie mam w sobie kota”.

Wyglądał na tak zdruzgotanego tym pomysłem, że Karen ścisnęła żołądek. Wiedziała, że był zainteresowany i zafascynowany Panterą. I że był ciekawy tej części siebie. Ale do tej chwili nie

zdawała sobie sprawy, jak bardzo tego pragnął.

- Caleb... - zaczęła delikatnie. Ale Reaux jej przerwał.

„Nie zrobiłem swojej pierwszej zmiany, dopóki nie byłem w twoim wieku. A ja jestem pełną Panterą. Rzucił chłopcu surowe spojrzenie. „Przyjdzie do ciebie. Już wkrótce. Mogę powiedzieć.”

"Naprawdę?" wykrzyknął Caleb.

Karen spojrzała na mężczyznę obok niej. Czy był szczerzy? Albo po prostu próbuje uspokoić uczucia chłopca.

„To bardzo ważne, aby przebywać w pobliżu pum” – kontynuował Reaux, skupiając się na Calebie. „Mogą pomóc obudzić kota”.

Caleb kiwnął głową, w tym momencie wydawał się dorastać. "Dobra. A teraz?"

"Ale już?" – powtórzył samiec.

„Czy mogę być w pobliżu twojej pumy?”

Reaux roześmiał się. „Podoba mi się to młode”.

- Och, Caleb - zaczęła Karen. „Reaux właśnie się zatrzymał. On nie zostaje. Może inny...”

Jej słowa ucichły, ponieważ gdy tam siedziała i gdy jej zachwycony syn patrzył, Reaux zmienił się w swojego kota. Tam, gdzie przed chwilą na kocu siedział obok niej na kocu wspaniały ciemnowłosy mężczyzna o srebrnych oczach, teraz była tam masywna puma. Nigdy w życiu nie widziała nic piękniejszego. Był czarny jak noc, z białymi smugami na twarzy. A kiedy odwrócił się, by na nią spojrzeć, przeszył ją srebrzystoszarymi oczami, wyszczerzył zęby w, jak była pewna, próbie uśmiechu, serce podeszło jej do gardła.

Mój kot.

Ta myśl była ulotna i szalona, a ona odmówiła jej przeanalizowania.

Reaux oddalał się od niej. Długie, ciężkie kroki i niepokojąco

duże łapy. Kiedy dotarł do Caleba, otarł się o niego swoim ciałem. Chłopiec upadł i zaczął się śmiać. Kot warknął. Raz. Potem znowu.

Caleb spojrział na nią. "Co powinienem zrobić?"

– Myślę, że chce cię zabrać na przejazdzkę.

Podnosząc się na nogi, chłopak wyglądał, jakby właśnie wygrał książyc i gwiazdy. „W porządku, mam?”

Puma zerknęła przez swoje potężne ramię i skinęła jej głową. Ale ona tego nie potrzebowała. Karen wiedziała, że jej syn jest bezpieczny z Reaux, nawet w tej postaci.

– Idź – powiedziała mu. – Przygotuję jedzenie, kiedy wrócisz.

Caleb pisnął i wspiał się na pokład.

Gdy patrzyła, jak niesamowita bestia biegnie w dół brzegu z sercem na jego szerokich plecach, Karen poczuła, jak coś wypływa z jej ciała. Nie potrafiła go nazwać, ale było ciemno i ponuro i szczęśliwie rosło w niej przez lata.

Puma lubiła chłopca. Wydobyło to zabawne młode, którym kiedyś było. Przez godzinę biegali po zalewisku. Podążając śladami zapachów, kopiąc w ziemi. Kot warknął na chłopca, próbując oderwać od niego młodą pumę. Był tam. Pod powierzchnią. Po prostu musiał czuć się odważny. Ale kiedy matka chłopca zawołała, radosny, zabawny dźwięk odbijający się od cyprysu, puma warknęła, aby chłopiec wspiał się na jego grzbiet i odeszli.

Z powrotem na brzeg.

Z powrotem do matki.

Reaux poruszył się w chwili, gdy Caleb zerwał się z pleców. Rozłożono przed nimi małą ucztę. Kanapki, owoce, ciasteczka. Patrzył, jak Karen kładzie chłopca na kocu i napełnia jego talerz. Zapytała o ich przygody w lesie, a oni śmiali się, że mudburgery są przesadzone i jak tym razem będą musieli zadowolić się kanapkami.

Cubs odeszli z Wildlands od tak dawna, że Reaux zapomniał, jaki cud przynieśli. Może któregoś dnia będzie miał szczęście, żeby go mieć. Rodzina. Kumpel. Najlepszym prezentem byłoby obserwowanie, jak ktoś matkuje swoje młode tak, jak powinna. Z matczyną miłością, uczuciem i radością oraz... ślepą akceptacją.

Jak Karen matkowała Calebowi.

Poza tym, że była niesamowicie piękną kobietą, była głęboko oddaną matką. Nawet po tym, przez co przeszła. Nie było gniewu ani urazy na Kalebie. Zasłużyła na szczęście. Zasługiwała na prawdziwego, godnego zaufania partnera, który trzymałby ją, gdy płakała, gdy uwalniała tkwiący w niej ból.

Warknął na tę myśl. Nie – na wizję jej „dobrego przyjaciela” Adriana przyjmującego tę rolę.

– Co się dzieje, Reaux?

Spojrzał na rozkładówkę piknikową. Caleb patrzył na niego z ciekawością.

– Myślę, że jest głodny – powiedziała Karen. – Usiądź, Reaux. Mamy mnóstwo.

Coś się w nim działo. Coś niepokojącego. Tak, zgodził się jej pomóc, porozmawiać z nią – spróbować pokazać jej sposoby na uleczenie żalu i gniewu. Ale na tym się nie zatrzymywał. Tak jak powinien. Szedł za nią, bawiąc się z jej synem. Myśląc o niej, gdy leżał w łóżku w nocy. A teraz... W tej chwili nie było niczego, czego pragnął bardziej niż zmienić się z powrotem w swojego kota, wywachać „dobrego przyjaciela” Adriana i walczyć z samcem aż do przelania krwi.

„Chciałbym móc”, powiedział im. "Ale musze iść. Mam sesję." Cholerna racja, tak. Z nim.

Caleb wyglądał na rozczarowanego, ale Karen kazała mu wrócić do jedzenia, a potem złapała kanapkę i wstała. "Tutaj. Weź to ze sobą."

Była za blisko. Jej oczy go pochłaniają. To było tak, jakby to ona nosiła piżmo na skórze.

– Moja mama to zrobiła – zawołał do niego Caleb. „Szynka, ser i musztarda. Robi najlepsze kanapki w historii.

Wzrok Reaux przykuł jej wzrok. I trzymane. "Kiedykolwiek?"

Zarumieniła się. Pomiedzy tym a jej dzikimi, rozwianymi przez wiatr rudymi włosami zaczął zapominać swoje imię. Kim on był. Kim była dla niego.

– Jest stronniczy – powiedziała Karen, potrząsając głową. – Miłość zabarwia nasz pogląd, nie sądzisz? A może też przyprawia i słodzi.”

– Może – powiedział.

Zauważając, że wydawał się zajęty, zaczęła pytać: „Reaux...”

Ale on ją odciął. Musiał odejść, zanim zaczął myśleć, że tu należy. Z nimi. Obawiał się, że jego puma już tak się czuła. Spojrzał na Caleba. „Rób te ćwiczenia. Mów do niego dalej.

"Kto?" – zapytała Karen.

– Mój kot, mamó – powiedział Caleb.

– Nie możemy być pewni, że w tobie jest kot, kochanie – przypomniała mu. – Mamy nadzieję, że tak, ale...

– Reaux to pewne – powiedział chłopiec z rezerwowym wyrazem twarzy. – Prawda, Reaux?

Reaux skinął głową. „Jesteś Pantera, młody. Wyczuwam to.

- Widzisz - powiedział Caleb. Potem na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – A co z mamą, Reaux?

"Co z nią?"

„Co w niej wyczuwasz?”

Karen roześmiała się, chociaż jej policzki pozostały zaróżowione. - Nie bądź głupi, Caleb. Nie mam w sobie pumy. Nie ma co powąchać...

– Słodka mięta – powiedział Reaux.

Oboje odwrócili się, by na niego spojrzeć. Ale w tym momencie chciał tylko oczu Karen.

„Każdy ma zapach” – kontynuował. „Twoja mama ma słodką miętę”.

„Czy to najśodsza mięta w historii?” – zapytał Caleb.

"Całkiem możliwe."

– Może powinienes ją pocałować i dowiedzieć się.

- Caleb - skarciła Karen, ale jej oko...

Nigdy nie opuściła Reaux. "Przepraszam."

— Nie bądź — powiedział szorstkim i ciężkim tonem potrzeby, której nie czuł... Bogini, nie wiedział, jak długo. "Muszę iść."

Skinęła głową. „Czy zobaczymy się jutro?”

– Dlatego przyszedłem – skłamał.

"Oh. Umówić się na spotkanie?"

Skinął głową, jego ciało mocno naciągnęło się na mięśnie i kości. Zamierzał ją dotknąć, pocałować... Musiał wiedzieć, jak smakuje. "Godzina dziesiąta?"

"Będę tam."

Bez słowa, każdy centymetr jego ciała krzyczał od ognia, który w nim wzniciła, wyrwał się z ich słodkiego, małego zgromadzenia i ponownie oddał się swojemu kotu.

ROZDZIAŁ 6

Koszmary były normalną częścią życia w laboratoriach. Potrzebne było gdzieś, aby koszmary tego dnia mogły odejść. Ale dzisiejszej nocy to, co sprawiało, że Karen budziła się, płakała, ciężko oddychała – cóż, nie miało to nic wspólnego ze strachem.

Odłamki ciepła zamigotały w jej brzuchu, gdy otworzyła

oczy. Ciemny pokój, sufit oświetlony światłem księżyca. Jej dłoń między nogami. Mokre palce. Wciąż go widziała – wygolone czaszkowo czarne włosy, szare oczy, twarde, namiętne rysy i usta, które były tam, gdzie teraz były jej palce.

Z jękiem przewróciła się na bok, opuszczając dłoń i podciągnęła kolana do piersi. Marzysz o nim? Boże, z każdym mijającym dniem wchodziła coraz głębiej. Przysięgła mu, że nie chce go w ten sposób. I właśnie tego popołudnia w milczeniu błagała go, żeby ją pocałował.

Musiała spać, zapomnij o tym. Zapomnij o tym, czego chciała, czego nigdy nie mogła mieć. A jutro, następnego dnia i następnego będzie pracować nad sobą. Być lepszą, silniejszą matką dla swoich dzieci.

Zbliżał się świt, gdy jej mokre i drżące ciało uległo wyczerpaniu.

„Jest ci zimno?” zapytał ją.

"Zupełnie nie. Właściwie to jest piękne. Uśmiechnęła się. „A ja mam na sobie płaszcz i piję kawę. Wszystko dobrze."

To była ich piąta sesja i Reaux zaproponował, żeby usiedli na patio za jego biurem. Przez wiele dni piekielnie próbował pozostać beznamietny i kliniczny wobec Karen, ale okazało się to niemożliwe. Historie o tym, przez co przeszła, były przerażające, tak, ale były także dowodem na to, jak niesamowitą była kobietą. Brutalnie silny, zaciekle opiekuńczy.

Oszłamiająco piękna.

Nigdy w życiu nie czuł się w ten sposób w stosunku do nikogo i to go denerwowało. Wpuszczenie kobiety, umożliwienie jej dostępu do jego serca... to go przerażało.

„Czy masz tu wiele sesji?” zapytała go, grzejąc ręce na filizance kawy.

"Trochę."

- Caleb pytał o ciebie - powiedziała z delikatnym uśmiechem na ustach. „Chcę znowu polować na ślady. Nie bawił się tak dobrze

od... nigdy. Nie mogę ci powiedzieć, co to dla mnie znaczyło.

Dla Reaux też to coś znaczyło. I to go zaskoczyło. Chłopiec, matka. Para. „To niezły szczeniak”. Jego głos brzmiał na zmęczonego. On też nie spał dobrze.

– Czy miałeś to na myśli, mówiąc, że możesz wyczuć w nim kota?

"Oczywiście. Nie powiedziałbym tego, gdybym nie miał tego na myśli. Nigdy bym go tak nie skrzywdziła. Kiedy wyglądała na zadowoloną, a nawet zadowoloną, zauważył to. – Chcesz, żeby mógł się zmieniać, prawda?"

– On tego chce – wyjaśniła. "Desperacko. I chcę, żeby z tego piekła wyszła jedna niesamowita rzecz."

Była niesamowita. Bogini, był w tarapatkach. „Czy jesteś gotowa być matką zmiennokształtnego pumy?"

– Jestem – powiedziała z niezachwianą pewnością siebie. „Przyprowadź kota. I planuję tu zostać. To teraz nasz dom, chyba że Raphael zdecyduje się nas wyrzucić, czy coś... Roześmiała się, ale urwała, gdy zobaczyła jego twarz. "Co jest nie tak? Wyglądasz na złego."

Reaux dokonał szybkiej samooceny. Gniew? TAK. I na samą myśl, że Raphael odeśle tę kobietę z Wildlands. Z dała od niego. Chryste, płonęło w nim nawet teraz. Gniew, zaborczość. Co się z nim działo?

I nawet gdy zadał pytanie, znał odpowiedź.

Karen przyglądała mu się z lekko krytycznym zezem. „Czy jesteś jak kilku w swoim rodzaju, Reaux?"

"Co masz na myśli?"

„Gniew... pytania o to, że jestem gotowa zostać mamą zmiennokształtnego”. Jej jasnobrażowe oczy ani na chwilę nie opuściły jego. – Myślisz, że my tu nie pasujemy? W Wildlands? Szczury, ja, Caleb..."

Nie mógł jej powiedzieć, co się dzieje w jego głowie. W jego sercu. Do diabła, co czuł od chwili, gdy prawie zemdląca pod jego

drzwiami, a potem przywarła do niego i wypłakała oczy. To piękne stworzenie, które sprawiło, że każdy jego cal stał się twardy, głodny i zaborczy. Ta uduchowiona matka, która potrafiła kochać i dała chłopcu wszystko, co miała. Nie mógł jej powiedzieć, że jej pragnie. Że się w niej zakochał.

Położył jej akta na blacie i westchnął. „Nie mogę tego kontynuować. Przepraszam, Karen.

Spojrzała na akta, a potem z powrotem na niego. "Co ty robisz?"

„Musisz znaleźć innego Uzdrowiciela”.

– Nie – powiedziała ostro. "Chcę ciebie."

Te słowa rozdarły jego wnętrze. Mógł sobie wyobrazić dziesięć różnych scenariuszy, w których mówiła mu to. "Przykro mi. To nie działa."

W jej oczach pojawiła się nagle lodowata pogarda. "Dlaczego nie?"

Nie rób tego. Nie mów ani słowa. Kobieta przed nim przeszła przez piekło i wszystko, czego od niego chciała, to ucho i narzędzia, które pomogą jej wyzdrowieć. Zamiast tego zakochał się w niej. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był jakiś samiec alfa dyszący za nią, domagający się, by zabrała ją i jej chłopca. A jeśli to – ona i on – będzie trwało jeszcze jeden dzień, to się wydarzy. Miękki, słodki i delikatny – to zarezerwowane dla pacjentów. Kiedy czegoś chciał, robił wszystko, żeby to zdobyć.

– Z czym masz do czynienia – zaczął, wymuszając chłodny ton w swoim tonie. „Wymaga bardziej doświadczonej ręki”.

Zamrugła na niego. „To bzdura i dobrze o tym wiesz”.

Zignorował ją. Musiałem. On wstał. „Tak jak powiedziałem, mogę kogoś polecić.”

Przez długie sekundy wpatrywała się w niego, gdy wokół nich słońce ogrzewało zimną bayou. Potem pociągnęła nosem i potrząsnęła głową. – Nie mogę w to uwierzyć, Reaux. Jesteś tchórzem."

To słowo wbiło mu się w brzuch. Ale znowu ją zignorował. –

Powodzenia, Karen.

Brazowe oczy płonęły, ona też wstała. – Nadal myślisz, że skoczę ci po kościach, prawda?

Nie odpowiedział, ponieważ w tym momencie jego odbył umysłu chwycił ten obraz i szedł do miasta z nim w głowie.

– Wiesz – powiedziała, na jej ślicznej twarzy malowała się wściekłość – byłam tylko profesjonalistką. To ty przyszedł do mojego domu, poszłaś za mną na zalewisko i bawiła się...” Zęby zacisnęły się, pokręciła głową. "Zapomnij o tym. Po prostu nie uznałem cię za gracza.

Z tymi słowami odwróciła filiżankę z kawą i pozwoliła, by pozostały brazowy płyn zmoczył jej akta pacjenta.

ROZDZIAŁ 7

Głód drażnił brzuch Karen, gdy szła do swojego ulubionego cyprysu z lunchem w ręku. Nie zjadła śniadania. Za późno wstawanie rano. Ponownie. To były te wszystkie nieprzespane noce.

Obwiniła go o nie.

Włożyła cyprys, otworzyła torbę i wyjęła kanapkę. Minał tydzień, odkąd wyszła na Reaux i od tego czasu starała się go unikać. Co nie było łatwe, ponieważ pracowali w tym samym budynku. Ale udało jej się to. Chłopcze, gdyby była głupcem. Wierząc, że Reaux jest jej bezpiecznym miejscem. Że może mu na niej zależało. I przez cały czas myślał, że jest jak każda inna kobieta: niezdolna do kontrolowania swoich pragnień wokół niego.

Cóż, mogła kontrolować swoje pragnienia!

Do diabła, kontrolowała ich przez dwanaście długich lat.

Zjadła część swojej kanapki, ale prawie jej nie spróbowała. Odłożyła go na serwetkę i wzięła owoce. Zassane. To wszystko. Ile czasu zajęło pokonanie... zmiżdżenia? Odpowiedź nigdy nie padła

do mózgu, ponieważ w chwili, gdy wrzucała do ust plasterki jabłka, jej kanapka została skradziona. Tuż przed nią. Przez

czarną pumę z białymi nitkami na twarzy.

Karen wpatrywała się w niego. Na niego. Jej serce w gardle. "Co to wszystko jest?" powiedziała twardym tonem. „Próbujesz odstraszyć mnie od posiadłości Wildlands?”

Puma jednym kęsem przełknęła kanapkę, po czym zaczęła chodzić przed nią.

– Nigdzie się nie wybieram, Reaux – powiedziała, pakując resztę lunchu. "To jest mój dom."

Warknął na nią, ale szedł dalej.

„Co ja ci zrobiłem? Na serio?” Jej oczy zaszyły łzami. Boże, była teraz mięczakiem. Co się stało z tą twardą kobietą z warstwami metalu wokół niej?

Gdy wstała, kot zamarł, a potem cudownie się przesunął. Z powrotem do mężczyzny, którego tak desperacko chciała zapomnieć. Stało tam sześć stóp wspaniałego, przerażającego samca alfa, przesywając ją stalowymi szarymi oczami.

„Przepraszam, że cię odszukałem, dobrze?” powiedziała mu przez swoje głupie, bezsensowne łyzy. „Przepraszam, że zmusiłem cię do zobaczenia mnie, pomóż mi”.

Podszedł do niej, ujął jej ramiona w swoje wielkie dłonie.

– Ale to nie było... – Jej głos się załamał. – Nie dlatego, że chcę cię skoczyć.

"Wierzę ci."

Jej oczy uniosły się, by spotkać jego. Tak mroczny i zniewalający. "Co? Ale myślałem... -

To nigdy twoje pragnienie mnie nie martwiło, Karen. To było moje."

Jej usta rozchyliły się, ale nic nie powiedziała.

„Chciałem cię od chwili, gdy cię poznałem. Coś nowego dla mnie. I szczerze, to mnie przerażyło. Potrząsnął głową, a nozdrza rozszerzyły się. „Nie mogłem przestać o tobie myśleć. Nadal nie

mogę.

Jej klatka piersiowa była tak ściśnięta. Z podziwem, niepokojem i... nadzieją. „Więc dlaczego... cały ten chłód i odpychanie mnie?”

Uniósł rękę i objął jej twarz, przesunął kciukiem po jej policzku. „Potrzebowałeś czasu na uzdrowienie, przestrzeń... uwolnienie od gniewu i żalu. Wszystko, o czym mogłem myśleć, to mieć ciebie. Nie byłem dla ciebie dobry jako Uzdrowiciel.

S11

– To nieprawda – powiedziała, przyciskając policzek do jego dłoni. „A dla przypomnienia, decyzje te podejmuję sam. Wiem, czego potrzebuję”.

Jego oczy szukały jej, próbując odczytać jej myśli. "Co to jest?"

– Ty – powiedziała po prostu.

Błysk złośliwego ciepła przemknął przez jego oczy. – Myślałem, że powiedziałaś, że nie chcesz skakać po moich kościach?

Żartobliwie wzruszyła ramionami. – Tak, ale nic nie mówiłem o tym, że skaczesz na moje.

Uniósł jej twarz. „Karen...”

„Nigdy wcześniej nie były skakane.”

Zamknął oczy na sekundę i odetchnął. "Zabijasz mnie."

„Nigdy nie czułem się tak w stosunku do nikogo, Reaux”.

Uniósł powieki i znów tam był. Taka intensywność, taka obietnica. Taki samiec.

Uśmiechnęła się. – Przysięgam, że pod pewnymi względami wciąż mam siedemnaście lat. Nie wiem jak zareagować. Co powiedzieć, kiedy naprawdę lubię chłopca.”

– Właśnie tam – powiedział, zbliżając swoje usta do jej ust i obejmując ją miękkim, słodkim pocałunkiem.

Karen roztopiła się przy nim, czując zarówno jego twarde mięśnie, jak i miękkie ciepło jego ust. Została pocałowana tylko

raz czy dwa, zanim została zabrana. Ale prawie tego nie pamiętała. Jak to było. Z pewnością było to nic w porównaniu z tym.

Reaux uwolnił jej twarz i otoczył ją ramionami. Przyciągnął ją do siebie, a gdy wiatr z bayou wiał wokół nich zimny i świeży, pocałował ją tak dokładnie, tak wygłodniałe, że na chwilę zapomniała, gdzie jest. Kim była.

Kiedy się cofnął, dzieliło ich tylko oddech. Rozmazany. Ich oddechy mieszają się.

– Robisz to naprawdę dobrze – szepnęła.

Uśmiechnął. "Ty też."

"Dziękuję Ci. To dopiero mój drugi lub trzeci raz".

„Och, Karen... ma chère...” Spuścił głowę i pocałował jej dolną wargę, wysyłając falę ciepła przez jej brzuch. "To jest niebezpieczne."

"Czemu? Po prostu się całujemy.

W jego gardle zamruczał cichy pomruk. „W przypadku Pantery jest inaczej niż w przypadku ludzi. To znaczy więcej. Zwłaszcza mężczyźni. Pochylił się blisko jej ucha i klepnął płat języka. Zadrżała. – Chodź... – powiedział. A kiedy westchnęła, zachichotał. – Wyjdź ze mną dziś wieczorem.

"Oh." Zaśmiała się cicho. „Jak randka?”

"TAK." Wziął jej płatek do ust i delikatnie go ssał. – Cholera, kobieto, dobrze smakujesz.

Ciepło zwinęło się w seksie Karen, a jej sutki stwardniały na jej staniku. Gdyby Reaux chciał posunąć się dalej, nie byłaby pewna, czy miałyby siłę, by pamiętać, że byli publicznie w ciągu dnia.

„Nigdy wcześniej nie byłam na randce”, powiedziała bez tchu, gdy nadal skubał jej ucho.

Ta rewelacja sprawiła, że nagle się wycofał. Jego oczy przyłapały ją i zatrzymały. Były ciemne i głębokie, ale miękkie jak

pieszczota. „Czy to czyni mnie bękartem, jeśli chcę odebrać wszystkie twoje pierwsze?”

Potrząsnęła głową. To było naprawdę wszystko, na co mogła sobie poradzić w tym momencie. Czuła się dziwnie i cudownie, jakby była stworzona z powietrza. Jakby mogła odpłynąć.

– Odbiorę cię o szóstej – powiedział, puszczając ją z uśmiechem wielkości i intensywności słońca na jego przystojnej twarzy.

Czy naprawdę odpłynie? Nie. Musiała tu zostać. Na ziemi. W Wildlands. Dla niego. I ich randka.

Świadomość i pilność krążąca w jej krwi, patrzyła, jak odchodzi, patrzyła, jak się zmienia. Patrzył, jak jego wspaniała bestia grzmiała po omszałym krajobrazie. Ponieważ jej umysł wyczarował tylko jedno słowo, aby go opisać.

Kopalnia.

„Dlaczego ciągle to sobie robisz?” Irek zbeształ, gdy Reaux przeszedł przez drzwi biura szpiega w domku w ogrodzie, a za nim echem pomrukiwały trzy kobiece pomruki. „Wiem, że chcesz uzyskać informacje, ale wiem też, jak szalone są fanfary seksualne”.

Oszalał, pomyślał Reaux, siadając na krześle naprzeciwko biurka przyjaciela. Albo normalnie. Dziś jednak było to dziwne — prawie nie zauważał spojrzeń, dźwięków rażącego pożądania, kiedy przechodził. Może dlatego, że jego umysł był skupiony na potrzebie tylko jednej kobiety. Ten, którego chciał.

Ten, którego zamierzał uczynić swoim partnerem.

„Powiedziałeś, że masz coś dla mnie?” – powiedział z roztargnieniem Reaux.

"Ja robię." Irek nigdy nie przepadał za cukrem, a jego ciemna maska żalu była niepokojąca. – Trochę trudnych wiadomości, przyjacielu.

Strach prześlizgnął się po kręgosłupie Reaux i jedyne, co widział w swoim umyśle, to twarz Karen. "Co?"

„To było trudne kopanie” – powiedział mu Irek. „Musiałem wyprosić kilka przysług z niektórymi byłymi pracownikami Benson. Dwóch, którzy pracowali tam w czasach, gdy urodziło się młode. Wygląda na to, że został adoptowany przez parę spokrewnioną z Christopherem.

To tyle, jeśli chodzi o nie powlekanie cukrem. To musiało być złe. – On nie żyje, prawda?

– Nie przetrwałem dziesiątego dnia.

"Pierdolić..."

„Cub potrzebował swojej matki. Młode Pantera muszą mieć tę więź. Niektórzy bardziej niż inni. Przepraszam, mój bracie.

Przez chwilę Reaux po prostu siedział, jak diabli, próbując wymyślić sposób, by przekazać Karen wiadomość. Nawet jej nie powiedział, że się tym zajmuje. Ale zasłużyła na poznanie prawdy, choć była straszna. Co więc zrobił? Jedziesz tam właśnie teraz? Czekać na dzisiaj? Na ich randkę?

On wstał. Nie było dobrego czasu. „Doceniam to, bracie”.

„W każdej chwili. Wiesz to." Irek też wstał i objął go, uderzył go kilkoma mocnymi uderzeniami w plecy, zanim go wypuścił. – Wychodzisz dzisiaj przez okno?

Reaux pokręcił głową. "Nie. Jestem dobry." Wyszedł drogą, którą wszedł, tym razem tak zajęty swoją kobietą i wiadomościami, które właśnie usłyszał, że nie słyszał nawet głodnych nawoływań kobiet, które ujęły go w nawias.

ROZDZIAŁ 8

„Moje włosy wyglądają obłędnie” – poskarżyła się Karen, wpatrując się w duże lustro na wewnętrznej stronie drzwi jej szafy.

– Nie, nie ma – upierała się Indy ze swojego samozwańczego „bezpiecznego” miejsca na skraju łóżka. Przyszła po wsparcie moralne, a chłopcze, dawała z siebie wszystko, co miała.

Niestety Karen była zbyt zdenerwowana i podekscytowana, by

uwierzyć w pozytywne opinie przyjaciółki.

„A jakiego koloru jest ta szminka?” Wskazując na usta, odwróciła się do Indy'ego. „Slutastic?”

Indy zerwał się z łóżka. – Dobra, wariujesz. A ty nie musisz.

"Łatwo ci powiedzieć. Masz Anioła. Zrobione. Jesteś szczęśliwy." Wpatrywała się w kobietę, marszcząc brwi. "Prawidłowy? Jesteś szczęśliwy?"

"Błogi." Jej oczy natychmiast przybrały rozmarzony wygląd. „Nie mogę uwierzyć, że to możliwe, ale wow. Rozkosz. Pełny."

Karen wydeła dolną wargę w udawanym grymasie. "Chcę tego."

Szybko wychodząc ze śpiączki miłosnej, Indy sięgnęła i położyła ręce na ramionach przyjaciółki. — Zaraz to dostaniesz. Jest w drodze tutaj.

W Karen eksplodowały macki podniecenia. Ponownie. „Po prostu wychodzimy na randkę. Jedna randka."

"UH Huh."

Karen się roześmiała i na chwilę złagodziło to napięcie, które narastało w niej od... no cóż, odkąd poznała Reaux.

— Nie znasz tych samców Pantery tak jak ja, kochanie — powiedział Indy, zdejmując sweter Karen z oparcia krzesła. „Oni nie są przypadkowymi randkowiczami. Widzą coś, co im się podoba, co chcą, idą za tym. To rzecz z pumą. Widzisz ładną, soczystą, kobietę w zasięgu wzroku? Oni to twierdzą.

Karen prychnęła na nią. „Sposób na malowanie obrazu. Ładne i soczyste, co?”

Indy uśmiechnął się złośliwie. — Och, tak, to znaczy, jeśli wie, co robi. A samce Pantery, które idą same, wiedzą.

Śmiejąc się, Karen przewróciła oczami, słysząc seksualne insynuacje, ale wewnątrz jej brzęczącego ciała każdy mięsień się zaciskał. Była taka gotowa. Tak chętny. "Dobra." Wyciągnęła ramiona i szybko się odwróciła. "Jak wyglądam? I nie kłam, bo

żał ci mnie i tego, przez co przeszłam w laboratorium.

— Cóż, jeśli nie mogę kłamać... — zaczęła Indy, a jej oczy błyszczały humorem. S

zrobił powolny wzrokowy ruch. Od prostych, lśniących włosów, przez czarną sukienkę bez ramiączek, po szpilki w stylu peekaboo. "Wyglądasz przepięknie."

Karen wydała cichy pisk. "Przeklinać?"

„Podwójnie przysięgam”.

Potem otrzeźwiała. — Miejmy nadzieję, że tak myśli.

— Kochanie — zaczęła Indy, pomagając Karen z jej swetrem. „Nie słyszałeś, co powiedziałem o samcach Pantery? On jest w tobie. Nie byłby...”

Rozległo się zdecydowane stukanie we frontowe drzwi.

Indy się roześmiał. — Teraz na twoim ganku, gdyby nie chciał cię zjeść żywcem. Mrugnęła. "Wiesz co mam na myśli."

"O Boże." Karen absolutnie wiedziała. W rzeczywistości, kiedy spieszyła do drzwi, jej skóra dosłownie drżała ze świadomości. Tak, tak, tak, była na to gotowa: obiad, rozmowa, a później zjedzenie żywcem.

Jej uśmiech był szeroki i podekscytowany, gdy odciągnęła grube drewno. Ale trochę się załamało, gdy zobaczyła stojącego tam Reaux. Wyglądał niesamowicie przystojnie. Miał na sobie czarne dżinsy, czarne buty, ciemnozieloną koszulę zapinaną na guziki i zlituj się, trzymał w rękach pojedynczą lawendową lilię.

— Dobry wieczór, piękna — powiedział, wręczając jej kwiat.

— Dziękuję — powiedziała, lekko bez tchu. „To takie ładne”.

Jego spojrzenie przesunęło się po niej zachłannie. „Nic w porównaniu z tobą”. Gwizdnął cicho i potrząsnął głową. "Wow."

Karen uśmiechnęła się. Jak powiedziała mu wcześniej, nigdy wcześniej nie była na randce. Ona też nie została uwiedziona. Podziwiany. Flirtował z. I to uczucie było przytłaczające. W najlepszy możliwy sposób. Znowu poczuła

się... młoda. Nie żeby była jakąś staruchą w wieku trzydziestu lat czy coś, ale lata spędzone w celi mijały boleśnie powoli. Czuli się dłużej niż byli. A teraz, gdy stała tutaj pod wilczym – nie, kocim – spojrzeniem swojego samca Pantery, miała nowe i ekscytujące życie. I zabawa. I... mam nadzieję, że seks.

– Oboje gotowi? – zapytał ją Reaux.

"Obie?" – powtórzyła Karen, nagle zdezorientowana.

Spojrzał za nią. – Czy Caleb nie przyjdzie?

Serce podeszło jej do gardła. Czy naprawdę przyszedł tam z nadzieją, że zabierze ich oboje...? „Myślałem, że to tylko my. Caleb spędzi dziś wieczór z Adrianem. Pamiętasz mojego przyjaciela Adriana?”

Reaux skinął głową, cień przemknął po jego stalowoszarym spojrzeniu. Potem wydawało się, że coś sobie przypomniał, wyjął z kieszeni ciekawą kopertę i wręczył ją jej. – Przyniosłem to dla niego.

„Płyta CD?” powiedziała.

– Nie śmieję się... –

Nie odważyłbym się. Chyba że wiesz, to ma być zabawne.

„Jestem wielkim miłośnikiem muzyki. Od dzieciństwa. Oparł swoje potężne ciało o drzwi i zniżył głos. „Są to piosenki, których słuchałem kiedyś”.

– Jaki to dzień? zapytała, wiedząc, że flirtuje. Jej głosem, jej oczami.

Odetchnął głęboko. „Kiedy próbowałem...” Odwrócił wzrok na chwilę. „Niech mój kot wyjdzie”.

Lekki flirt, którym się cieszyła do tej chwili, ustąpił miejsca zupełnie innemu. Coś głębszego i miejmy nadzieję, że trwa dłużej. Była to realizacja tego, co ten samiec nie tylko dał swojemu synowi, ale dla niego stworzył. I rozlał się po niej jak najmniejszy, najcieplejszy i najbezpieczniejszy koc.

– Upewnię się, że go dostanie – obiecała wdzięcznym i

stanowczym głosem.

Pokiwał głową. "Głodny?" – zapytał, unosząc jedną ciemną brew.

Nie masz pojęcia, chłopie. "Bardzo."

Uśmiechnął się i podał jej ramię. "Chodźmy."

- Nie zrobiłaś - powiedziała Karen, śmiejąc się między łykami wina.

„Byłem małym diabłem” – powiedział jej Reaux, obserwując ją przez stół. „Nauczyciel kazał mi jeść do ostatniego kęsa”.

„Zachorowałeś później?”

„W sposób, o którym nie chcę rozmawiać, ponieważ planuję pocałować cię później i nie chcę, aby ten obraz mnie utkwiał w twoim umyśle”.

Znowu się roześmiała. "Słusznie."

Nie chcąc zabierać Karen z Wildlands, Reaux postanowił zabrać ją do panny Nathalie. Kilka miesięcy temu starsza kobieta postanowiła zamienić swój pensjonat w restaurację. Było teraz tak wiele nowych par, nowych twarzy w Wildlands, że kobieta uległa żądaniu miłego miejsca do jedzenia. Nie żeby to miejsce z ośmioma stolikami było aż tak wyszukane, ale miało naprawdę dobre jedzenie i zabójczo romantyczną atmosferę.

"A ty?" – zapytał Reaux, dostrzegając sposób, w jaki świeca migocząca między nimi na stole sprawiła, że jej oczy błyszczały bursztynem. „Jakie złe rzeczy zrobiłeś jako dziecko?”

To pytanie otrzeźwiło ją na chwilę i Reaux zastanowił się, czy nie przekroczył. Ale szybko się odprężyła i powiedziała: „Kiedyś nagrywałam, jak moi rodzice śpią”.

Reaux odstawił piwo. „Przepraszam, co to było znowu?”

Zaśmiała się. „Oboje twierdzili, że nie chrapią. Miałem dość słuchania tego argumentu. Wzruszyła ramionami, jej ładne,

blade ramiona uniosły się i opadły. „Nagrałem je. Potem zagrałem to dla całej okolicy”.

– Założę się, że masz kłopoty.

– Można by pomyśleć, prawda? Podniosła widelec. „Ale moi rodzice nie byli tacy. Oboje byli naprawdę troskliwi i kochający – i wybaczący”. Dźgnęła małą marchewkę i wsunęła ją sobie do ust. „I mogliby sobie zażartować”.

Szcście, szczęście, marchewka. „Brzmia jak dobrzy ludzie”.

"Byli." Kiedy nagle łzy napłynęły jej do oczu, sięgnął przez stół i wziął ją za rękę. – Przysięgam, nie wiem, co jest ze mną nie tak – powiedziała, kręcąc głową. „Nie płakałam więcej niż kilka razy w ciągu tych dwunastu lat spędzonych w laboratorium. A teraz jestem poza domem, wolna i... szczęśliwa. Uśmiechnęła się na to. „I chodzący kanał łzowy”.

– To dobrze, Karen – zapewnił ją. „Oznacza, że się leczysz. Pozwalasz sobie na uzdrowienie.”

Jej oczy uniosły się, by spotkać jego, i były zamyślane i błyszczące. – Czego chcesz, Reaux? Kiedy jedna z jego brwi uniosła się, uśmiechnęła się delikatnie. „To znaczy z życia?”

Cóż, to było pytanie. Zwłaszcza teraz. Spotkanie z nią zmieniło dla niego wszystko. „Chcę, aby Pantera i Wildlands były bezpieczne”.

Skinęła głową. "Zgoda."

Ścisnął jej rękę. „A ja chciałbym mieć partnera i rodzinę”.

Przełknęła. Obserwował ruch w jej gardle. „Zasługujesz na to”, powiedziała mu z absolutną szczerością. – Po tym, jak traktowała cię twoja matka. Czy ty...” Odchrząknęła. „Czy kiedykolwiek zbliżyłeś się do znalezienia partnera?”

"Nie." Jego oczy były utkwione w jej.

"Oh."

Jego usta drgnęły w delikatnym rozbawieniu. – W każdym razie nie do niedawna.

"Oh." Uśmiechnęła się.

Bogini, chciał ją pocałować. Czy ujdzie mu to na sucho tutaj? Uśmiechnął się do siebie. Nie z takim rodzajem pocałunków, jaki miał na myśli. Nie tylko dziobanie w poprzek stołu.

Do jadalni weszły wtedy dwie kobiety. Do tego momentu były to tylko pary, co nie stanowiło problemu dla Reaux. Ale to, westchnął... to może być problem.

Nie zajęło im dużo czasu, żeby go dojrzeć lub poprosić, żeby usiedli w pobliżu.

– Skończę, jeśli ty – powiedziała Karen.

Wzrok Reaux wrócił do niej. Całkowicie rozumiała.

– Ale jeszcze nie jadłeś deseru – powiedział, przysuwając jej dłoń do ust i całując ją.

Wzruszyła ramionami. „Mam lody w zamrażarce”.

"Naprawdę?"

Skinęła głową, uśmiechając się i przygryzając wargę.

Spojrzał na nią z przymrużonymi oczami. "Kocham lody."

– W takim razie wynośmy się stąd, chłopie.

Jej słowa sprawiły, że puma w jego wnętrzu zaczęła warczeć i drapać. Chciał wyjść i na nią. Zatkaj się, powiedział. Nie chcemy jej przestraszyć.

Wstał i poszedł odsunąć jej krzesło. A po zapłaceniu czeku wyprowadził kobietę, która miała zostać jego partnerką, przez jadalnię i wyszedł za drzwi, zupełnie nie zwracając uwagi na dwie kobiety, które się za nim gapiły.

ROZDZIAŁ 9

Karen stała w salonie Adriana, Reaux obok niej, próbując

udawać, że między dwoma mężczyznami nie ma żadnej wibracji. Ale to nie było łatwe. Reaux zachowywał się zaborczo wobec niej, podczas gdy Adrian był terytorialny. I przez cały ten czas Caleb nadal spał na kanapie.

- Posłuchaj, niczego nie znalazłem – powiedział Adrian, skupiając się całkowicie na Karen. – Ale wiesz, że będę dalej szukać.

– Dziękuję – powiedziała, kiwając głową. – I dzięki za opiekę nad Calebem dziś wieczorem.

„W każdej chwili”. Uderzył w słowo, żeby się upewnić, że naprawdę to zrozumiała. – Chcesz, żebym zaniósł go do domu?

– Mam go – powiedział Reaux, idąc już w tamtą stronę, podnosząc śpiącego chłopca i kołysząc go w ramionach.

Adrian pociągnął nosem. „Sugerowałem to tylko dlatego, że mnie zna”.

– On też mnie zna – odpowiedział Reaux z wątkiem ledwie skrywanej agresji. „A co ważniejsze, jego kot mnie zna”.

To zaskoczyło Adriana i odwrócił się, by spojrzeć na Karen. – On... gównie, Kar, zmienił się?

Posłała mu szybki uśmiech. "Nie. Jeszcze nie.

– To Pantera – powiedział Reaux, idąc już w stronę frontowych drzwi. „A jeśli są zestrojone, jedna Pantera może wyczuć drugą. Dowie się wszystkiego o tym, kim jest.

- Zgaduję, że go nauczysz – odparł lodowato Adrian.

Reaux przytrzymał drzwi otwarte dla Karen. „Już tam, bracie”.

– Myślę, że powinniśmy iść – powiedziała szybko Karen. Zapomnij o napiętych. To było jak wybuch testosteronu. Wiedziała, że Adrian ją chroni, ale to było śmieszne. I wcale nie była pewna, co robi Reaux poza zachowywaniem się jak niegrzeczny palant. – Jeszcze raz dziękuję – powiedziała przyjaciółce, kiedy wychodzili za drzwi.

– Jak powiedziałem, Kar – zawołał za nią. „W każdej chwili”.

Kiedy oddalali się od domu, idąc chodnikiem na ścieżkę prowadzącą do jej mieszkania, Karen czuła ciepło od mężczyzny obok niej. Nie delikatny, kojący upał. Ale pożar, który trzeba było ugasić.

– Dobra, co do diabła jest z tobą nie tak, Reaux? Spojrzała na niego. Jego szczęka była zaciśnięta.

S12

– Ten samiec jest w tobie zakochany – wydusił.

"Nie. On nie jest."

Powęszył mrocznie. – Jestem profesjonalistką, Karen.

„Profesjonalista co?”

„To nie jest śmieszne”.

"Och przestań. To trochę zabawne. Obok nich przebiegły dwa masywne złote koty. Reaux nawet nie zauważył ich obecności. „Słuchaj, Doktorze Miłości, Adrian spotyka się z Łowcą”.

To go ani trochę nie zniechęciło. „Możesz umawiać się z ludźmi, spać z ludźmi...”

„Punkt?”

– Nie oznacza to, że to oni.

– Jesteś bardzo filozoficzny jak na psychiatrę.

Zatrzymał się na szlaku, przecznice od jej małego domu, i odwrócił się do niej. Caleb wciąż mocno spał w jego ramionach. Jego oczy błyszczały na nią. – Nie traktujesz tego poważnie.

"Nie, nie jestem. Ponieważ nie jestem w nim zakochana i tylko to się liczy.

Reaux wpatrywał się w nią, rozszerzając nozdrza.

– A co więcej... – kontynuowała gorąco.

„Dostaję więcej?”

– Co więcej – naciskała. „Już jestem kimś zainteresowany”.

Błysk w jego oczach zmienił się w piekło. "Naprawdę?"

Skinęła głową. Powoli. Wtedy wydobył się swobodny, zalotny uśmiech. „Właściwie to straszne zadurzenie”.

Dotarcie tam zajęło mu chwilę, jego oczy złagodniały, a usta drgnęły. "Przykro mi."

"Tak. Nie wyobrażam sobie, żebym się z tym pogodził". Jej wzrok przesunął się po jego twarzy. „O ile, oczywiście, ten facet nie czuje do mnie tego samego”.

Reaux odetchnął ciężko i potrząsnął głową. A potem, zanim którekolwiek z nich zdołało powiedzieć coś jeszcze, pochylił się – chłopiec w jego ramionach – i pocałował ją. Nic głodnego, nic zaborczego, ale powolnego, narkotyzującego i wypełnionego obietnicami.

– On czuje to samo – szepnął przy jej ustach. "Ten facet." Uśmiechnął się. „Czuje bezsprzecznie, bezwstydnie, bez zastrzeżeń to samo”.

A potem całował ją przez pełne pięć minut na środku ścieżki, zanim w końcu się rozdzielili i ruszyli do domu.

Reaux nasunął kołdrę pod brodę, po czym zatrzymał się na chwilę. Czy tak to było? Być rodzicem? Ojciec? Caleb patrzył w całkowitym spokoju, z policzkiem przyciśniętym do poduszki, tak ufny. Ma matkę, która by za niego umarła. Reaux uśmiechnął się. Szczęśliwy chłopak. Aby taka kobieta cię kochała.

Zapach mięty połaskotał Reaux w nozdrza i natychmiast warknął cicho.

„Czy wszystko w porządku?” – szepnęła Karen, podchodząc do niego.

Był bardziej niż w porządku. „Wyczuwam to w nim. Jego kot. Ma bardzo silną wolę.

Zaśmiała się cicho. "Nie jestem zaskoczony."

Jej szybkie westchnienie poruszyło jego głowę. "Co to jest?"

„Chciałbym to wyczuć. Czuję, że w ten sposób nie mam mu nic do zaoferowania. Brak zrozumienia."

Reaux objął ją ramieniem w talii i przyciągnął do siebie. – Masz dla niego ważniejsze prezenty. Miłość. Bezpieczeństwo. Przyjęcie. Nie masz pojęcia, co te rzeczy oznaczają dla młodego mężczyzny.

Jej oczy szukały jego. – Albo do starszego mężczyzny?

– Tak – wydyszał. Bogini, jego serce było pełne. Musiał jej powiedzieć. Jak się czuł. Czego chciał.

Ale co, jeśli go nie chciała? Sam pomysł sprawił, że bolały go wnętrzności. Dziwne i przerażające uczucie. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak odrzucił kojarzenie. Użył swojej „kłątwy” jako wymówki, by nigdy się nie zbliżyć.

Kiedy Caleb przetoczył się na bok i zakaszłał, Karen wykonała gestem „wynośmy się stąd” i wyszli z pokoju.

"Lody?" szepnęła, zamykając drzwi chłopca i kierując się na korytarz.

"Zdecydowanie." Poszedł za nią do małej kuchni, a potem oparł się o blat i patrzył, jak nabiera zieloną czekoladową miętę do dwóch misek. Potem wkradli się z powrotem do salonu i opadli na kanapę.

– Podoba mi się twój dom – powiedział, rozglądając się. "Wygodna."

„To jeden z nowych domków dla nas, szczurów i hybryd. Nie żeby była wielka czy coś – kontynuowała pomiędzy kęsami lodów. „Ale dla mnie to masywne. Po tak długim życiu w tej klatce.

Jego kot przeciągnął pazurami po kręgosłupie Reaux. Chciał się wydostać, chciał zabić każdą istotę, która skrzywdziła tę kobietę. – Jesteś teraz wolny – powiedział. „Na tak wiele

sposobów”.

„Po prostu zaczynam to czuć”. Nagłe szczęście zabłysło jej w oczach i powiedziała zupełnie bez skrępowania: „Chcesz zostać na dłużej?”

Skóra Reaux napięła się, a jego apetyt na lody wyparował. "Jesteś pewny?"

Skinęła głową. "Jestem. Nigdy wcześniej z nikim nie spałem. W tym samym łóżku.

– Ja też nie – powiedział jej.

Uśmiechnęła się szeroko, niemal konspiracyjnie. „Więc chcesz?”

Puma podskoczyła, ale Reaux ją odepchnął. Chciał powiedzieć, że nie chce nigdy opuścić twojego boku. Jesteś mój. Ale to brzmiałoby strasznie i rozpaczliwie, i szczerze mówiąc, był apodyktycznym dupkiem alfy, kiedy szli do domu w sprawie Adriana.

Ale z drugiej strony był Panterą. Mężczyzna. Drapieżnik w jego rdzeniu. I znalazł tego, z którym chciał się skojarzyć. Jak mógł jej tego nie pokazać?

"Dobrze?" naciskała, jej oczy błyszczały z podniecenia.

– Chciałbym zostać – powiedział. A kiedy znów się uśmiechnęła, on odwzajemnił uśmiech.

Kiedy skończyli lody i włożyli miski do zlewu, Karen pokazała Reaux łazienkę, dała mu zapasową szczoteczkę do zębów, a potem poszła do swojego pokoju się przebrać.

Reaux nic nie przyniósł, więc kiedy wyszedł, miał na sobie tylko bokserki. “Nie przyniosłem mojej torby na noc.”

Ubrana w grubą, różową szatę, Karen stała przy oknie. Jej oczy przesunęły się po nim pożądlivie. "Jesteś w porządku. Bardzo dobrze." Przygryzła wargę. „Jeśli czujesz się komfortowo, ja też. Wyglądasz...

– Dobrze? on zapytał.

Jęknęła. „Nie wiem, dlaczego tak się denerwuję”.

„Pierwszy nocleg. Dla nas obojga.” Wszedł pod kołdrę i sięgnął po nią. „Chodź tu.”

Na jego zachłannych oczach zdjęła szatę i podeszła do łóżka. Na ten widok Reaux praktycznie połknął język. Kobieta była boginią. Zapomnij o bieliźnie. Miała na sobie coś w rodzaju długiej różowej koszulki, która sięgała do połowy uda. Pokazała jej stonowane ramiona, idealne piersi, ciasne sutki, wąską talię i długie nogi. Była seksowna jak diabli, ale też urocza.

Chryste, czy on się ślinił?

W chwili, gdy wśliznęła się pod kołdrę, w chwili, gdy jej ciepłe ciało przywarło do jego, przysunął ją do siebie. Kopalnia. A kiedy położyła nogę na jego udzie i przycisnęła policzek do jego piersi, Reaux po raz pierwszy w życiu zaznał prawdziwego zadowolenia.

– Dzięki za naszą randkę – szepnęła, jej oddech laskotał skórę na jego klatce piersiowej.

Jego palce bawiły się jej włosami. Bardzo miękkie. „W każdej chwili”.

„I niosąc dzieciaka do domu, kładąc go do łóżka”.

"Oczywiście."

– I... no cóż, mnie też położysz do łóżka. Uniosła twarz, żeby go zobaczyć. „Reaux?”

Założył jej kosmyk włosów za ucho. „Mmmhmmm?”

„Chcę teraz zedrzeć ci ubranie”.

On śmiał się. Nie mógł się powstrzymać. – Nie noszę się dużo, ma chere. A gdybyśmy byli gdzie indziej, pozwoliłbym ci. Bogini, tęsknię za tobą. Nie masz pojęcia. Nie mogę się doczekać, aby cię posmakować. Warknął cicho i pocałował ją łapczywie, głęboko, po czym szepnął, gdy się cofnął: „Te usta tak samo jak inne”.

Jęknęła i przycisnęła rdzeń do jego uda.

Warczenie wyrwało się z jego ust. „Mój kot pragnie ciebie tak

samo jak ja. Ale myślę, że powinniśmy dziś po prostu spać. Caleb jest tak blisko, a samce Pantery nie są ciche.

Jęknęła, jej oczy były pełne pożądania, gdy wpatrywała się w niego. Ale w końcu skinęła głową.

"Odpocznij teraz." Wziął ją w ramiona. "Mamy mnóstwo czasu."

Mamy całe życie, moja piękna kolego, pomyślał, gdy się schowała

jego ramię i wypuścił ciężki oddech.

ROZDZIAŁ 10

Światło słoneczne ogrzewało jej twarz, podczas gdy ciepło i mięśnie pysznego mężczyzny paliły jej plecy. Karen uśmiechnęła się. Reaux chował się za nią i nie było niczego, czego chciała w tej chwili bardziej niż to, żeby objął ją w pasie i przyciągnął jeszcze bliżej. Żeby mogła go wyczuć. Ciepły oddech przy szyi. Twardy kutas przeciw uniesieniu jej pośladków.

Mogła się do tego przyzwyczać.

Gdyby się poruszyła, wygięła plecy w łuk, może mogłaby go zachęcić do...

Usłyszała Caleba. Był w salonie. Rozmawiał i bawił się ze swoimi małymi żołnierzami. Dziś rano nie ma łuków.

Mamy mnóstwo czasu.

Słowa Reaux, jego obietnica, przebrzmiewały przez nią. Nigdy nie pragnęła niczego więcej. Nie mogła się doczekać, kiedy go będzie miała i zostanie przez niego zabrana. Nie mogła się doczekać, kiedy się z nim skontaktuje. Zakochała się w nim.

Dźwięk czegoś uderzającego o ziemię w salonie sprawił, że delikatnie wyplątała się z jego uścisku. Starając się go nie obudzić, wyslizgnęła się z łóżka i chwyciła szlafrok. Znalazła Caleba rozciągniętego na dywanie w salonie, z dużą książką na ziemi obok niego. W chwili, gdy weszła, spojrzał w górę.

– Czy jest tu Reaux, mamó?

Dziwnie się czuła, odpowiadając na to pytanie. Czy było w

porządku? Że Reaux był tutaj, w jej domu, w jej łóżku? Budzisz się z nią? W swoim umyśle i sercu wierzyła, że Reaux jest jej partnerem. Ona tego chciała. On też chciał tego, w co wierzyła. Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. "Tak kochanie."

– Och, dobrze – powiedział chłopak, a jego oczy rozbłysły jak dwie petardy. „Chcę mu powiedzieć, że wczoraj wieczorem odtwarzałem płytę CD dwa razy”.

– To cudowne, kochanie – powiedziała, podchodząc i mierzwiąc jego włosy.

„A czy czułeś swoją pumę, kotku?” za nimi rozległ się głęboki męski głos.

Karen odwróciła się i natychmiast zemdląła. Stojąc tam, jego wielkie ciało, zajmujące miejsce w jej małym salonie, było najseksowniejszym mężczyzną na całym świecie. Znowu miał na sobie dzinsy, ale bez koszuli, a jego ramiona, klatka piersiowa i brzuch były kusząco rozdarte twardymi mięśniami. Sprawdziła usta, czy nie ma śliny, po czym uśmiechnęła się. Czy naprawdę był jej? Czy mógł być jej? Gdy spojrzała mu w oczy, tak drapieżna i namiętna, gdy szedł w jej kierunku, poczuła, że chce nim być.

„Moja puma musi to znowu usłyszeć, Reaux!” – zawołał Caleb.

- W takim razie puść muzykę, kotku - powiedział z radosnym pomrukiem, podchodząc do Karen i dając jej szybkiego buziaka w szyję. „Zaprzeczanie swojej bestii może być bardzo niebezpieczną rzeczą”.

Płonące gorąco i laskoczące dreszcze przeszły przez i tak już wrażliwe ciało Karen. Kiedy był dobry i naprawdę jej, mógł tam spędzać każdą noc, w jej łóżku. Ich łóżko. Będzie musiała dostać większe łóżko. Pasuje do długiej, mocno umięśnionej Pantery.

„Co jest na śniadanie, mamó?” – zapytał Caleb.

Spojrzała na niego z miłością. "Jesteś głodna?"

"Tak. Mój kot też. Warknął na nią dla efektu.

Spojrzała przez ramię na Reaux, który wpatrywał się w jej

szyję. — A co z tobą, chłopie? Głodny?"

Jego oczy uniosły się, by uchwycić jej. "Głodujący."

Jej puls skakał i skakał we krwi. „Więc wy dwoje spotkacie się, a ja coś przygotuję”.

"Potrzebuję pomocy?" zapytał z intymnym uśmiechem.

– Może później – powiedziała, oddając go.

„Zdecydowanie później”.

Choć jej ciało było mieszanką świadomości, szczęścia, napięcia i zdumienia, Karen udało się zebrać składniki. Rozbijając jajka i opiekając chleb, chłonęła słodki, mały cudowny świat, w którym żyła w tym momencie. Mężczyzna i młode, bawiące się na dywanie, śmiejące się, gdy ich żołnierze z armii planowali strategię i walczyli. Czy to był dom? Prawdziwy rodzaj? Z... rodziną? Czy może tak być? Jej serce zabiło znajomym poczuciem straty. Brakowało tylko Warda i Tate. Reaux mógłby ich tak wiele nauczyć. Jakby go zawołała, spojrzał w górę i zauważył, że na niego patrzy. Jego oczy były spokojne i pewne, jego uśmiech był głodny i drapieżny. Jej serce podskoczyło, a potem stopiło. Ten samiec był jej sercem, jej domem. Modliła się, żeby on też to poczuł.

Z zadowolonym westchnieniem wróciła do smażenia bekonu, a chłopcy wyszli na zewnątrz. Wszystko się ułoży, pomyślała, obserwując, jak biegną, patrząc, jak Reaux co kilka minut wchodzi i wychodzi ze swojego kota. Musiało się udać. Po tym, przez co przeszła przez ostatnie dwanaście lat, zasłużyła na coś prawdziwego i wspaniałego.

Zasłużyła na Reaux.

Zasłużyła na szczęśliwą i całą rodzinę.

Szybko nakryła do stołu, położyła na talerzu całe jedzenie i już miała wziąć mleko i sok, kiedy zabręczał telefon komórkowy Reaux, który zostawił na blacie poprzedniego wieczoru. Chwyciła go i już miała wybiec i dać mu, kiedy zobaczyła odczyt. Ogarnęła ją ciemna choroba i naraz wyparowała przyjemność i bezpieczeństwo sprzed chwili.

Informacje, które ci dałem, były błędne. Młody K miał 15 dni, kiedy zmarł. Nie 10. Sry for f-up.

Karen wpatrywała się w niego, oczy tak szeroko otwarte, brwi tak zmarszczone, że wkrótce stało się to bolesne. K był nią. Młodym, który zginął, musiał być Tate. Nagle bez tchu poczuła dziwną potrzebę wejścia do kąta, kulenia się i pozostania tam. Godzinami. Dni. Tygodnie? Ale nie zrobiła tego. Nie mogłem. Caleb już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Podniosła wzrok. Wyjrzałem na zewnątrz. Na jej syna i Reaux. Bieganie po podwórku. Ufała temu mężczyźnie. Ze wszystkim, co miała. Jej dziecko, jej serce. Dlaczego miałyby to zrobić? Po tym wszystkim, przez co przeszła... dlaczego miałyby to zrobić?

Caleb wpadł przez drzwi, jego policzki zaróżowiły się od zimnego, porannego powietrza. „Głodzimy, mamo!”

Skinęła głową, zmusiła się do uśmiechu. – Wyślę ci to. Czy możesz poprosić Reaux, żeby przyszedł i mi pomógł?

"Tak!"

Kilka sekund później mężczyzna, którego zaledwie kilka minut temu uważała za jej prawdziwego partnera, wkroczył z szerokim uśmiechem na twarzy. „Jest tak blisko. Nie mogę się doczekać jego pierwszej zmiany.

– Zostawiłeś swój telefon na blacie.

Natychmiast się spał. Nie z powodu telefonu, ale z powodu tonu w jej głosie. Przyglądając się jej uważnie, wziął go z jej ręki. A kiedy przeczytał tekst, przeklął i potrząsnął głową.

– Musisz iść – powiedziała.

– Karen...

– Idź. Ale już."

– Miałem ci powiedzieć.

– Przed czy po tym, jak spałeś ze mną?

"To niesprawiedliwe."

– Twoja koszula jest w łazience – powiedziała. „Buty też”.

„Nie rób tego. Nie idź tam w swojej głowie.

Spojrzała na niego, syknęła na niego. „Nie mów mi, co mam robić. Kiedykolwiek. Jak długo ukrywałeś to przede mną?

Sięgnął po nią. – Niczego przed tobą nie ukrywam.

„Nie dotykaj mnie”. W jej oczach pojawiły się łzy. – Mój Tate? On jest martwy. Cały ten czas."

Reaux znów po nią sięgnął. „Proszę, pozwól mi cię przytulić”.

Pokręciła głową, łzy spływały jej po twarzy. "Musisz iść. Caleb przeszedł przez piekło. Nie zasługuje na to, żeby w to wchodzić.

– Karen... Przez kilka sekund wyglądało na to, że Reaux może z nią walczyć. W jego oczach kryło się głębokie nieszczęście, głęboki żal. Ale po chwili poszedł do łazienki i chwycił koszulę. Kiedy wyszedł, poszedł prosto po nią. „Poprosiłem przyjaciela o pomoc. To wszystko. Chciałem ci to dać. Chciałem to dla ciebie zrobić. Jestem w tobie zakochany, Karen. Przeczesał palcami włosy. „Wczoraj dowiedziałem się o tych informacjach. Miałem ci powiedzieć. Ale zeszłej nocy... nie wiem. Chyba po prostu chciałem, abyśmy oboje byli szczęśliwi. Patrzył na nią, czekając na odpowiedź. Kiedy nie dała jednego, ponownie zaklął i skierował się do drzwi. „Łatwo jest wrócić do mrocznych uczuć i jeszcze mroczniejszych założeń. Uwierz mi, wiem.

Łzy spływały jej po policzkach, gdy wychodził za drzwi. Ale szybko je wytarła. Jej syn jej potrzebował. Całe i szczęśliwe. A jeśli musiała, to znów ukrywała swój ból. Znała ten stan bytu aż za dobrze.

Minęły dwa dni.

r />

Dwa długie, beznadziejne dni, odkąd Reaux ją widział. I nigdy w życiu nie czuł się bardziej nieszczęśliwy.

– Musisz go sprofilować, Reaux.

Reaux podniósł wzrok. Lider Pantery wraz z Parishem i trzema Suitami – Genevieve, Rochem i Irekiem – byli w jego biurze. Poranne spotkanie.

– Jakimś cudem Bogini – kontynuował Raphael – Xavierowi udało się zlokalizować i uratować badania przed komputerami, które zostały wysadzone w powietrze przez zamachowca-samobójcę. Wyjaśnił mi to wszystko, ale szczerze mówiąc Geekowie mówią innym językiem.

– Te plany są jak cholera niepokojące – wycedził Parish. Przywódca Łowców przechadzał się przy oknie. „Tak jak szaleniec, który je stworzył.

— Jeśli Christopher zda sobie sprawę, że udało nam się uratować dane — wtrącił Irek — mógłby uwolnić wirusa na Wildlands. Musimy się do niego dostać.

Reaux wypuścił ciężki oddech. Jego głowa musiała być w tej grze. Stawką było życie jego rodzaju. „Chcesz wiedzieć wszystko o człowieku, który by to zrobił?” Kiedy wszyscy przytaknęli, dodał: „Stworzę profil, ale musisz wiedzieć, że będzie to przemyślane przypuszczenie”.

„Wiemy”, powiedziała mu Genevieve. – Współpracuj nad tym z Mackenzie i Lux. Wręczyła mu napęd zip. „Oto wszystko, co mamy na jego temat do tej pory, ale ostatecznie chcielibyśmy poznać Twoją opinię na temat tego, gdzie może teraz mieszkać, jak wydaje pieniądze, z kim spędza czas. Nic i wszystko.”

„W jakim celu dokładnie?” – zapytał ją Reaux.

– Aby zlokalizować skurwiela. Parish oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. – Zlikwidujemy go na dobre. I każdy, kto dla niego pracuje”.

Rozumiejąc szybko świt, z piersi Reaux wydobył się niski pomruk. – To dlatego nazwałeś dom Pantery? Spojrzał na Raphaela. – Gromadzisz armię.

Przywódca Pantery nie zaprzeczył. „Skończyliśmy z parami, które wchodzą, zakładają plastry i gaszą pożary. Skończymy to.”

"Dobrze." Zanim Reaux zdążył odpowiedzieć, rozległo się pukanie do

drzwi. Potem lekko się otworzyły i pojawiła się twarz Karen. Kiedy zorientowała się, kto jest w środku, skrzywiła się. "Przepraszam. Wrócę później."

S13

Reaux wstał z miejsca w kilka sekund. "Nie. Skończyliśmy."

Raphael spojrział na kuzyna. – Potrzebujemy go do dzisiejszego wieczoru.

– Dostaniesz – zapewnił go, gdy grupa wstała i wyszła z jego biura.

Kiedy on i Karen zostali w końcu sami, zbliżył się do niej. "Hej. Wszystko ok?"

Wyglądała na zamyśloną, bladą, siadając na jednym ze skórzanych krzeseł. "Zastanawiam się czy mógłbyś mi pomóc."

Jego brwi uniosły się. "Oczywiście. Byle co."

„Potrzebuję Uzdrowiciela”. Jej oczy uniosły się, by spotkać jego. – A ty jesteś najlepszy, jaki istnieje.

ROZDZIAŁ 11

Wyraz twarzy Reaux głęboko ją zranił. Zdezorientowany, chętny, napięty. Wiedziała, że go skrzywdzi. Od chwili, gdy wyszedł z jej domu dwa dni temu, wiedziała. Tak jak wiedziała, że to, co dla niej zrobił, odkrycie prawdy o Tate, zostało zrobione, ponieważ mu na niej zależało.

Może nawet ją kochał.

Z sercem ściskającym się z nadzieją spojrzała na niego. Stał plecami do biurka z rękami skrzyżowanymi na szerokiej klatce piersiowej. Wyglądał wspaniale i zamyślony.

– Tak mi przykro – zaczęła. "Miałeś rację. Jestem płochliwa, boję się, że znowu będę cierpieć. Boi się zranienia. Boi się zaufania. Boi się żałoby". Odetchnęła gwałtownie, jej oczy błagały go, by zobaczył, co jest w jej sercu. „Ale zrobię to i jestem.”

Przez kilka długich sekund Reaux wpatrywał się w nią, a jego oczy pociemniały z emocji. Potem potrząsnął głową. –

Powinienem być ci powiedzieć. Od razu. Jak tylko się dowiedziałem.

„Hej, rozumiem, dlaczego nie”. Posłała mu miękki uśmiech. „Mieliśmy noc. Pierwszy taki dla nas obojga od dłuższego czasu. Było pięknie, idealnie i zabawnie. Chciałeś być szczęśliwy. Chciałeś mnie widzieć szczęśliwą.

Odsunął się od biurka, podszedł do niej, ukląkł przed nią. – Tak mi przykro z powodu Tate’a.

Łzy napłynęły jej do oczu. Te cholerne łzy. Ale przynajmniej teraz nadchodzili. Uzdrawiając ją, jak powiedział Reaux. Pomagając jej zobaczyć prawdę. Zobacz miłość, szczęście i przyszłość, którą mogłaby mieć, gdyby to przyjęła. – Dziękuję – powiedziała, sięgając po jego dłoń. „Za szukanie. Za uzyskanie dla mnie odpowiedzi. Splótła swoje palce z jego palcami. „Może nie byli tymi, których chciałem. Ale przynajmniej wiem.

Oczy Reaux płonęły w jej żarem i intensywnością. „Kocham cię, kobieto. Ty i szczeniak. Chcę, żebyś była moją rodziną.

Nie mogła mówić. Tylko łzy.

– Proszę, nie wyrzucaj mnie ponownie ze swojego życia – powiedział. „Niezwykle czułe serce mojej pumy nie może tego znieść”.

Nigdy, pomyślała. Jesteś mój.

Jestem twój.

Nadszedł czas, aby mu pokazać.

Puściła jego rękę. Cicho wstała i podeszła do drzwi. Szybkim ruchem nadgarstka zamknęła go, po czym odwróciła się twarzą do niego. Powoli, zmysłowo zaczęła zdejmować ubrania. Nie planowała tego, ale tak było. Więc dobrze.

Reaux wstał i obserwował ją pod przymrużonymi oczami. Z każdym ubraniem, które zdjęła i rzuciła na krzesło, te oczy ciemniały. "Tutaj?" – spytał głosem ochryłym i gęstym od potrzeby.

„Czy możesz wymyślić lepsze miejsce?” zapytała, uśmiechając

się, gdy zdjęła stanik i majtki i stanęła przed nim naga.

Warczenie, które jej odpowiedziało, było przerażające. I sexy. I tak Reaux zadrżała.

Podszedł do niej jak drapieżnik – drapieżnikiem, którym był – zgarniając ją w ramiona i biorąc jej usta pod swoje. Pocałował ją mocno i głodny, i jakby nie widział jej od roku. A Karen wtopiła się w niego, poddając się jego intensywności. Smakował jak niebo, słodki i tajemniczy, a kiedy jego palce wbiły się w jej skórę, a język zaatakował jej usta, z jej gardła wyrwało się westchnienie.

– Zgadza się, Karen – warknął przy jej ustach. "Jesteś mój. Powiedz to. Powiedz mi."

- Cała twoja, Reaux - wyszeptala, jej skóra płonęła, jej seks zaciśnięty i mokry.

Pocałował ją ponownie, karzący pocałunek, który sprawił, że cicho płakała, chwyciła go za ramiona. Chciała też zdjąć jego ubrania. Musiałem poczuć jego skórę na jej dłoniach, pod paznokciami. Na jej szczycie, gdy wbijał się głęboko w nią.

– Bogini, myślałem o tym – wymamrotał, przygryzając jej dolną wargę, a potem głęboko ją ssąc. „Ty, naga w moich ramionach. Zapach twojej cipki w moich nozdrzach.

Jego słowa, tak obrazowe i szczerze, wprawiły jej ciało w panikę. Ciepło przebiegło przez nią i próbowała szarpnąć jego ubranie. Wyłączony. Wyłączony. Wyłączony.

Dostać się do środka. Wejść do środka, gdzie jest ciepło. Gdzie należysz.

Czując jej pośpiech, zachichotał mrocznie, zachłannie, po czym położył ją na dywanie. Nad nią świetlik rzucał na nią ciepłe światło słoneczne. Wokół niej kołysała ją zielona świeżość zalewu. Przed nią, stojąca u jej stóp, naga... Cięta i wyrzeźbiona, tak długa i twarda, że jej usta śliniły się. Bóg! Bogini! Ktokolwiek stworzył to stworzenie... Reaux. Jej ciało trzęsło się z potrzeby i oczekiwania. Mój, zadumała się zaborczo, wpatrując się w niego w każdym calu. Wszystko moje. Na zawsze.

A potem upadł, przykucnął jak kot, którym był, zaczynając od jej

kostek i całując go w drogę. Karen dyszała przy każdym ciepłym, mokrym uścisku jego ust. Wnętrze jej kolan, w górę jej ud, a następnie zatrzymała się na chwilę, by lizać jej mokrą cipkę. Natychmiast rozłożyła nogi. Daje mu lepszy dostęp. Miękki warkot wyrwał się z jego gardła, gdy ją lizał. Powolne, odurzające liźnięcia, które sprawiły, że przeszył ją ogień.

„Proszę” – błagała, wiedząc, że mając jeszcze tylko kilka okrążeń do swojej płci, przyjdzie. – Proszę, Reaux. Chcę cię we mnie.

Warknął swoją odpowiedź, ale zrobił to, o co prosiła, poruszając się w górę. Jej brzuch, żebra, prawy sutek. Karen traciła rozum. Owinęła go nogami, zahaczając kostkami o jego twarde tyłek i przytulając się do jego długiego, twardego kutasa. Reaux jęknął, przeklął, po czym oparł się o jej śliską cipkę.

Jakby czekała na to całe życie, na niego. On był tym jedynym. Jej jedyny. Jej miłość. Jej życie. Jej rodzina. I desperacko chciała wiedzieć, jak to jest mieć go w sobie. Tak głęboko została zdobyta.

Z własnym pomrukiem sięgnęła między ich ciała, zacisnęła pięść na jego twardym jak skała kutasie i umieściła jego główkę przy wejściu.

Z nikczemnym, czarnym warczeniem podniosła się głowa Reaux. Szare oczy błysnęły ogniem i potrzebą.

– Proszę – błagała. „Nie mogę iść wolno. Nie pierwszy raz.

Następnie objął jej twarz, obdarzył ją mrocznym, głodnym uśmiechem, a kiedy powoli w nią wszedł, pochylił głowę i pocałował ją. Powolny, odurzający, zmysłowy. Z każdym niewiarygodnym calem w gardle Karen wibrował jęk. A kiedy była pełna, kiedy był tak głęboko, że nie mogła myśleć ani oddychać – po prostu czuć – zaczął się ruszać.

Wokół nich było zalewisko. Zielony, chłodny i pełen życia. A jej samiec się z nią kochał. Po raz pierwszy. Sięgnęła po niego, chwyciła jego napięty tyłek i trzymała się. Indy miał rację. Samiec Pantery był czymś zupełnie innym. Szokujący i intensywny kochanek, ostry drapieżnik, ceniony przyjaciel i zaciekle sojusznik.

I rodzina.

„Kocham cię, Reaux”, zawołała, gdy wbił się w nią, mocno, głęboko i wiecznie. A kiedy wysłał ją za krawędź, płacząc i błagając o więcej, a promienie słoneczne otulały ich ciepłem, Karen wiedziała, że jest dobrze i prawdziwie twierdziła.

W sercu.

W ciele.

W umyśle.

I w duchu.

KONIEC